



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO-KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

nr 2/2013 {111}





~ **Spis treści** ~

3 *Ćwierć wieku Klubu Abstynenckiego „Radość” w Koszęcinie*

*„Żołnierz wrzesniowych dni”
podpułkownik Lucjan Załęski* **4**

6 *W 25. rocznicę śmierci
Mariana Nowaka (1926–1988)*

*Sylwiusz von Aulock
– dobrodziej nie tylko Kochanowic* **8**

10 *Okolice Lublińca*

Jeszcze o tożsamości śląskiej **12**

14 *Jan Nikodem Jaroń – krótka
próba rekonstrukcji biografii*

*Rozwój historyczny administracji
Kościoła katolickiego* **16**

20 *Jestem ładna*

Franciszek Grotowski i jego fundacja **22**

24 *Lubliniec wczoraj i dziś*

Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Powiat Lubliniecki

Redaktor naczelny: Jan Myrcik; pismo redagowane przez Kolegium

Redakcyjne w składzie: Kazimierz Bromer, Gerard Burek, Maria Dole-

żych, Bogusław Hrycyk, Krzysztof Kanclerz, Marzena Koza, Andrzej

Musioł, Wojciech Poznański, Edward Przebieracz, Sebastian Ziólek

Zdjęcie na okładce:

Adres Redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu, ul. Paderewskiego 7,

tel. (34) 35-10-500, wew. 601, e-mail: gazeta@lublinieck.starostwo.gov.pl

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia Sil-Veg-Druk; www.svd.pl; tel.: 34 356 29 61

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój 21. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nieprzyjmowane są artykuły niepodpisane. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

~ *Jan Myrcik* ~

Ćwierć wieku Klubu Abstynenckiego „Radość” w Koszęcinie

„**Boże użycz nam pogody ducha**”

O tym, że alkohol jest problemem dla wielu ludzi, że uzależnia i znie-wala, że jest przyczyną ludzkich nieszczęść i dramatów – powszechnie wiadomo. Wiadomo też od długiego czasu, że alkoholizm jest nie tylko „problemem” osobistym osób uzależnionych, problemem rodzinnym i społecznym, ale jest on także – a może przede wszystkim – chorobą. Chciałbym te ostatnie słowa mocno podkreślić: Alkoholizm jest chorobą. O tym wiedzą – albo powinni wiedzieć wszyscy – i ci, którzy wpadli w sidła choroby alkoholowej, ci którzy kończyli Akademię, albo Uniwersytety Medyczne i ci, którzy dzielą pieniądze państwowe i społeczne na przysłowiowe leczenie. Powinni o tym – tak mi się wydaje – wiedzieć także ci, którzy produkują i handlują towarami w butelkach i beczkach, który to produkt jest przyczyną choroby alkoholowej, a pośrednio wielkich dramatów ludzkich i społecznym nieszczęściem. Alkoholizm powinni leczyć wszyscy, myślę jednak, że przede wszystkim powinna się tą chorobą, tym problemem społecznym zająć Służba Zdrowia i Ci wszyscy którzy przysięgą Sokratesa zobowiązali się ratować każdego chorego człowieka, w tym także tych, którzy są chorzy, bądź ciężko chorzy na chorobę alkoholową. Czekam na czas, kiedy lekarze – do których mamy ogromne zaufanie skierują do wszystkich odpowiedzialnych swoisty „Apel lekarzy” dotyczący problemu, choroby i nieszczęścia „picia”. Alkoholizm trzeba leczyć, skoro jest chorobą, alkoholizmowi trzeba zapobiegać, skoro jest ludzkim nieszczęściem i dramatem. Wiem, że tak powinno być i wielu ludzi odpowiedzialnych – od rządu począwszy, a na „dołach administracji” skończywszy – powiedziało by mi, że tak właśnie jest, że zapobiegają, że leczą że wspomagają zarówno alkoholików a szczególnie ich rodziny – dzieci, małżonków, rodziców itd. że władze „zbierają” urzędowo „haracz korkowy” od tych, którzy piją (trochę przewrotnie mówi się od sprzedaży alkoholu czy też przyznawanych licencji), i dzielą te „korkowe” złotówki. Fundują szkolne obiady, kupują dzieciom alkoholików (albo biednym dzieciom, z patologicznych rodzin) zeszyty i książki, współfinansują konkursy, zabawy, wycieczki itp. To „zaczarowane – alkoholowe koło” kręci się, jest śmieszne i patologiczne za razem, bo żywi się „własną krwią” ludzi chorych na alkoholizm. Ludzie „muszą pić”, bo inaczej nie byłoby środków na zwalczanie alkoholizmu. To straszna patologia do której przyzwyczajono nas, wmawiając, że „korkowe” jest „błogosławieństwem na chorobę alkoholową. Ale ja wiem, i wiemy prawie wszyscy, że tak nie jest, albo przynajmniej że leczenie, przeciwdziałanie i zapobieganie alkoholizmowi nie jest dostatecznie skuteczne, szczególnie nieskuteczne jest pod polskim niebem, w naszym kraju, w naszym województwie, powiecie, gminie. Wiemy, że jest to nasz społeczny i historyczny problem chyba od czasów przysłowiowego „króla Sasa” do dzisiejszych sponsorowanych imprez masowych, gdzie często „zespoły artystyczne” i biesiadnicy śpiewają wspólnie prastare „ludowe” pieśni, „pij pij, kolego pij”, albo „pije Kuba do Jakuba” itd. Dobrze by było, żeby się „to wszystko” na śpiewie kończyło, ale nie kończy się. Nigdy „sponsorzy główni” (pisani na afiszach, czy zaproszeniach ... najmniejszą czcionką) nie powiedzą ile hektolitrow trunków biesiadnicy „wytrąbili”, i o ile wzbogaci się fundusz „korkowy”. Walka z alkoholizmem na Śląsku toczy się już od co najmniej dwóch wieków. Znani są szczególnie dwaj działacze toczący wielki bój trzeźwościami: ksiądz Ficek z Piekar Śląskich i Juliusz Ligoń urodzony i wychowany na naszej koszęcińskiej i lublinieckiej ziemi. Przepraszam za ten przedłużony wstęp, za to moje – prawie abstynenckie – spojrzenie na ludzkie nieszczęście, które

„ludzie ludziom gotują” Miałem pisać – i w następnym akapicie napiszę – o jubileuszu Klubu Abstynenckiego „Radość” w Koszęcinie. Ale odezwał się u mnie harcerski instynkt, wpojony mi w dzieciństwie, że harcerz „nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych”. Boże, jak cudowny byłby świat, gdybyśmy posłuchali i wcielili w życie zasady generała Baden Powella – twórcę światowego Skautingu.

Ćwierć wieku Klubu abstynenckiego „Radość” w Koszęcinie

Jedną z instytucjonalnych (i skutecznych) form leczenia uzależnień od alkoholu są kluby abstynenckie.

Pierwsze tego typu placówki powstały w Polsce w latach 70 – tych XX wieku. Najstarszą placówką tego typu na ziemi lublinieckiej jest działający od 37 lat Klub „Nadzieja”, mający swoją siedzibę na terenie szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lublińcu. Dnia 26 lipca 1988 roku zrodziła się taka placówka – pod nazwą Klub Wzajemnej Pomocy „Radość” – także w Koszęcinie. Inicjatorami powstania tego Klubu byli: ks. prałat Tadeusz Fryc – długoletni proboszcz parafii NSPJ w Koszęcinie i p. Zygmunt Kowalski, któremu wówczas Klub był „potrzebny”. W krótkim czasie jednostka ta została zarejestrowana w Polskiej Federacji Klubów Abstynenckich i po dokonaniu wyboru zarządu rozpoczęła działalność. Pomieszczenia – które służą klubowiczom od początku istnienia tej placówki do dzisiaj na cotygodniowe spotkania – używa bezinteresownie parafia NSPJ. W Koszęcinie. Najmłodszym Klubem działającym od czterech lat z inicjatywy Z. Kowalskiego jest klub „Twoja Szansa” w Kaletach.

W Klubie „Radość” – podobnie jak we wszystkich Klubach na terenie Polski – gromadzą się ludzie uzależnieni, wywodzący się z różnych środowisk, o różnych zawodach i stopniu wykształcenia i członkowie ich rodzin, a także osoby chcące pomóc i jednym i drugim. Koszęciński klub „Radość” nie jest placówką ani parafialną, ani gminną. Placówka ta jest otwarta dla każdego potrzebującego pomocy – niezależnie od miejsca zamieszkania i światopoglądu. Można w przybliżeniu stwierdzić – bo dokładnej statystyki się nie prowadzi – że z klubu „Radość” w Koszęcinie skorzystało w minionych dwudziestu pięciu latach około pięciu tysięcy osób potrzebujących pomocy. Wielu z nich trwa całymi latami w abstynencji i trzeźwości. Dzięki Klubowi zmienił się ich stereotyp życia i bytowania – trwają w trzeźwości, odnaleźli szczęście rodzinne, pracę i nowe pożyteczne formy spędzania wolnego czasu.

W minionym ćwierćwieczu szczególnie, bezinteresowną aktywnością w pracy na rzecz Klubu „Radość” w Koszęcinie wykazali się m.in: opiekunowie – ks. prałat Tadeusz Fryc i p. mgr psychologii -Celina Bryś, a także p. Krystyna Sowa – długoletnia gospodyni Klubu oraz p. Joachim Gatys – pełniący od szesnastu lat obowiązki prezesa Klubu.

Klubowicze są niezmiernie wdzięczni wszystkim Ludziom dobrej woli za zrozumienie ich problemów i za okazaną pomoc. Warto wspomnieć, że uroczystość dwudziestopięcioletnia Klubu „Radość” odbyła się w sobotę 3 sierpnia 2013 roku. Uroczystą Mszę św. celebrował ks. Biskup Gerard Bernacki. Następnie świętowano w sali Domu Strażaka z udziałem ponad 200 gości. Uroczystość jubileuszowa zakończyła się zabawą taneczną, udowadniając, że bez alkoholu można godnie żyć, pracować i bawić się.

Na dalsze trwanie Klubu „Radość” w Koszęcinie i wszystkich innych Klubów Abstynenckich niech towarzyszą słowa modlitwy, którą wszystkie kluby trzeźwościami na świecie rozpoczynają i kończą swoje spotkania: „...BOŻE UŻYCZ NAM POGODY DUCHA...”

„Żołnierz wrześnieńskich dni” podpułkownik Lucjan Załęski

Sledząc losy żołnierzy 74 Górnośląskiego Pułku Piechoty z Lublińca nie sposób oprzeć się myśli o ich powojennych losach, które bardzo często były tragiczne. Przykład stanowi podpułkownik Lucjan Załęski, który walczył w wojnie obronnej Polski w 1939 roku, uczestnik walk II Korpusu PSZ we Włoszech. Powrócił do kraju z przeświadczeniem sprawiedliwości oraz możliwości dalszego służenia Ojczyźnie w mundurze. Niestety nie było mu to pisane.

Podpułkownik Lucjan Załęski urodził się 2 stycznia 1904 roku. W latach 1924–1927 uczył się w Oficerskiej Szkole Piechoty w Warszawie. Był żołnierzem 74 Gpp.

22 lipca 1948 roku w areszcie GZI WPP zmarł na skutek pobicia i stosowania innych niedozwolonych metod śledczych. Był to oficer przedwojenny deklarujący swoje lewicowe przekonania. „Nie wyleczył” go z nich areszt NKWD w Jampolu, obóz pracy w Indiel i inne przykre okoliczności pobytu w ZSRR. Jesienią 1941 roku objął stanowisko szefa sztabu 18 pp w Buzułuku. ZSRR opuścił z armią generała Andersa. W Anglii wstąpił do „Zjednoczenia Polskiego”. Był jednym z tych oficerów, którzy 19 października 1945 roku podpisali apel do żołnierzy polskich na obczyźnie, nawołujący do powrotu do kraju. 22 marca 1946 roku wstąpił do odrodzonego Wojska Polskiego, otrzymał przydział do 1 Dywizji Piechoty. W listopadzie 1947 roku został przeniesiony na stanowisko szefa sztabu 3 DP. 13 lipca 1948 roku ówczesny szef Oddziału Śledczego GZI WP podpułkownik Aleksander Malkowski, w uzgodnieniu z zastępcą szefa GZI, pułkownikiem Anatolem Fejginem, wydał polecenie porucznikowi Józefowi Kulakowi i porucznikowi Janowi Jurkiewiczowi, aby zastosowali wobec zatrzymanego tzw. przesłuchania trzeciego stopnia, tzn. bicie w pięty i plecy. Około godziny 21 oficerowie śledczy rozpoczęli przesłuchanie. Podpułkownik Załęski otrzymał kilkadziesiąt uderzeń gumą w pięty oraz kilkadziesiąt uderzeń w plecy. Bito go do godziny 23.00. Około północy zmaltretowany oficer stracił przytomność. Wezwana felczer Obrębska stwierdziła bardzo słaby rytm serca, ledwo wyczuwalny puls i liczne ślady uderzeń na ciele. Dała mu zastrzyki i na jej polecenie podpułkownika Załęskiego zanieśiono do celi.

16 lub 17 lipca lekarz kapitan Jan Allergand zgłosił wniosek o przeniesienie podpułkownika Załęskiego do szpitala, ale podpułkownik Makowski nie wyraził na to zgody. 22 lipca stan zdrowia aresztowanego gwałtownie się pogorszył. Wezwany lekarz zastał go w agonii. Krótko potem podpułkownik Załęski zmarł. Jak ustalili w 1957 roku zastępca naczelnego prokuratora wojskowego, podpułkownik Franciszek Mateja: „Ówczesne kierownictwo GZI WP starało się ukryć faktyczną przyczynę zgonu Załęskiego. Doktor Allergand wyjaśnił, że po śmierci Załęskiego został wezwany do pułkownika Kuhla, a później podpułkownika Malkowskiego, celem wyrażenia swojej opinii co do przyczyny zgonu. Doktor Allergand wahał się z wypowiedzeniem tej opinii. Wobec tego Malkowski polecił mu napisać raport o stwierdzeniu zgonu Załęskiego i podania w tym raporcie takiej przyczyny zgonu, która „wykluczyłaby możliwość dalszych wyjaśnień i nie budziłaby wątpliwości”. Zgodnie z tym poleceniem w raporcie z 22 lipca 1948 roku do pułkownika Kuhla Allergand podał, że Załęski zmarł na skutek „niedomogi serca”.



6 grudnia 1957 roku komisja specjalistów z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Warszawie pod przewodnictwem profesora doktora Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego wydała na podstawie akt śledztwa w sprawie śmierci podpułkownika Załęskiego opinię o przyczynach jego zgonu. Oto jej wnioski: „Denat przebywał przez kilka dni w okropnych warunkach w tzw. karcerze w zimnie, nago, na betonowej posadzce, co już mogło przyczynić się do ciężkiej choroby, a nawet zejścia śmiertelnego. Poza tym tryb badania kilkudniowego, bez snu, oczywiście w bardzo dużym stopniu przyczynił się do znacznego osłabienia sił odpornych organizmu, już osłabionego warunkami więziennymi. Te tortury bezsennością powodowały, że badany tracił przytomność i spadał z krzesła. Poza tym do zejścia śmiertelnego w bardzo dużym stopniu przyczyniły się liczne urazy mechaniczne, których doznał i których obecność w całej rozciągłości potwierdziły oględziny zwłok. Przyczyna śmierci Lucjana Załęskiego stoi bezpośrednio w związku z wymienionymi warunkami (przebywanie w karcerze, bezsenność i uszkodzenia ciała doznane przez niego). Należy podkreślić, że te wszystkie tortury (inaczej nie można tego nazwać) zadawane denatowi ogromnie osłabiły jego odporność, bardzo liczne obrażenia cieleśne oczywiście spowodowały silne bóle, które się zsumowały i same jako takie przyczyniły się do zejścia śmiertelnego. Martwica stopy lewej była jedną z przyczyn w zespole przyczyn śmierci, gdyż nie można negować, że wchłonicie produktów rozpadu tkanek martwiczych bezwarunkowo ze swej strony przyczyniło się do osłabienia organizmu i zejścia śmiertelnego”.

W końcowym wniosku komisja stwierdziła, że: „Zgon Lucjana Załęskiego był w bezpośrednim związku z omawianymi poprzednio warunkami więziennymi, sposobami badań Lucjana Załęskiego i uszkodzeniami ciała przez niego doznany”. Oprócz profesora dr Grzywo-Dąbrowskiego opinię podpisali także doc. dr Jan Rydygier i doc. Dr Jan Raczyński.

O śmierci podpułkownika Załęskiego powiadomił pułkownik Kuhl pierwszego wiceministra obrony narodowej generała Spychalskiego. Powzięto decyzję odwołania podpułkownika Malkowskiego do ZSRR. Porucznicy Jurkiewicz i Kulak nie ponieśli żadnych konsekwencji ani w 1948 roku ani później.

14 września 1956 roku prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej w notatce sprawozdawczej ze śledztwa w sprawie śmierci podpułkownika Załęskiego napisał: „Opierając się zatem na dotychczasowych ustaleniach uważam, że sprawa niniejsza ma perspektywę na zakończenie jej w trybie postępowania sądowego jedynie w przypadku, kiedy odpowiadać będą wszyscy bezpośrednio lub pośrednio winni śmierci Załęskiego. Wyodrębnienie i pociągnięcie do odpowiedzialności karnej jedynie majora Kulaka

i pułkownika Jurkiewicza byłoby niesłuszne, albowiem byli oni – może sadystycznymi wykonawcami poleceń przełożonych – ale tylko wykonawcami”.

Wraz zamknięciem „sprawy lubelsko-zamojskiej” skończył się okres zwalczania struktur politycznego i zbrojnego podziemia w Wojsku Polskim, członków i sympatyków PSL, a także członków innych niepeperowskich organizacji. Przez lata następne utrzymały się wszystkie podstawowe kierunki zewnętrznego zagrożenia wywiadowskiego. Panorama opozycji wewnętrznej w następnym okresie została wzbogacona o „odchylenie prawicowo – nacjonalistyczne” i „spychalszczyznę”. Rok 1948 zamykał też pewien okres stosowanych przez Informację WP brutalnych metod śledczych. Dowiadujemy się o tym m.in. z „Notatki służbowej dotyczącej naświetlenia metod śledczych stosowanych przez organa Informacji wobec zatrzymanych i aresztowanych w latach 1945–1953”, którą opracował 13 kwietnia 1956 roku dla GZI WP podpułkownik Włodzimierz Gorzkowski. Przygotował ją na podstawie dokumentów, rozkazów, analiz sądowych czy relacji świadków. W latach 1945–1948 podstawową metodą było bicie. Stosowano je aż do zgonu podpułkownika Załęskiego. Początkowo oficerowie śledczy nie musieli uzyskiwać na nie zezwoleń przełożonych. Zasadę zezwalania na bicie wprowadził pułkownik Fejgin. Do 1948 roku nie skutkowało jednak żadne próby ograniczenia lub zakazy bicia aresztowanych. Nie walczyło zresztą z tym zjawiskiem zbyt konsekwentnie. Dlatego też nie przestrzegano wydawanych w tej sprawie rozkazów i zarządzeń. Oprócz bicia stosowano porażenie aresztowanego prądem elektrycznym za pomocą induktora, męczącą gimnastykę, karcer i inne formy tortur.

Podpułkownik Lucjan Załęski, szef sztabu 3 DP, aresztowany został w dniu 15 maja 1948 roku pod zarzutem przynależności do kontrrewolucyjnej organizacji, działającej w byłym Lubelskim Okręgu Wojskowym. Wobec podpułkownika Załęskiego stosowano w toku przesłuchań różnego rodzaju presję fizyczną i psychiczną. W początkowym okresie śledztwa pułkownik rezerwy Kuhl i Fejgin grozili podpułkownikowi Załęskiemu zastosowaniem przymusu, jeśli nie przyzna się do stawianych mu zarzutów. W późniejszym czasie pułkownik rezerwy Frydman dwukrotnie ukarał podpułkownika Załęskiego osadzeniem w karcerze, a pułkow-

nik rezerwy Fejgin zarządził długotrwałe przesłuchania, trwające nawet po kilka dni z rzędu. Wreszcie w dniu 13 lipca 1948 roku ówczesny Szef Oddziału Śledczego, podpułkownik Sergiusz Malkowski, zalecił przesłuchiwanie podpułkownika Załęskiego z użyciem siły fizycznej. Przesłuchanie to mieli prowadzić major rezerwy Kulak i kapitan rezerwy Jurkiewicz. Zgodnie z wytycznymi podpułkownika Malkowskiego, jeden z oficerów śledczych, a mianowicie major rezerwy Kulak, miał wpływać perswazyjnie na podpułkownika Załęskiego, by przyznał się do stawianych mu zarzutów, natomiast kapitan rezerwy Jurkiewicz, w wypadku gdyby perswazyja nie odnosiła skutku, miał go bić pałką gumową w pięty. Przesłuchanie podpułkownika Załęskiego w dniu 13 lipca 1948 roku przebiegało według wskazówek podpułkownika Malkowskiego, który zresztą kontrolował jego przebieg. Przesłuchanie rozpoczęło się od rozpytywania podpułkownika Załęskiego na okoliczności stawianych mu zarzutów, a gdy on nie potwierdził ich, kapitan rezerwy Jurkiewicz uderzył go kilkanaście razy wężem gumowym w pięty. W trakcie tego przesłuchania podpułkownik Załęski otrzymał w sumie kilkadziesiąt uderzeń w pięty i plecy. Obok kapitana rezerwy Jurkiewicza także major rezerwy Kulak uderzał wężem gumowym przesłuchiwanego kilkanaście razy w pośladki. W związku z powyższymi metodami, stosowanymi przez oficerów GZI wobec podpułkownika Załęskiego, rozpoczął się u niego proces chorobowy i dnia 22 lipca 1948 roku podpułkownik Załęski zmarł. O śmierci zawiadomiono kierownictwo GZI i Naczelną Prokuraturę Wojskową. Dokonano oględzin i sekcji zwłok. W sprawie tej prowadzono dochodzenie, w wyniku którego podpułkownik Malkowski został usunięty z zajmowanego stanowiska. W stosunku do innych oficerów biorących udział w stosowaniu niedozwolonych metod wobec podpułkownika Załęskiego nie wyciągnięto odpowiednich konsekwencji.

Oceniając obecnie zakres odpowiedzialności tych osób, których działania względnie zaniechanie w mniejszym lub większym stopniu doprowadziło do śmierci podpułkownika Załęskiego, nie można pominąć tej okoliczności, że w wyniku przeprowadzonego dochodzenia w tej sprawie ograniczono się w zasadzie jedynie do zwolnienia ze stanowiska szefa Wydziału Śledczego GZI podpułkownika Malkowskiego.



Siedzą od prawej strony: chorąży Marcin Kramer (zamordowany przez Niemców w styczniu 1940 roku w Olsztynie k/Częstochowy), ksiądz kapelan Jan Szymala, oficer nr, kapitan Lucjan Załęski, major Tadeusz Lipowski, major Józef Pelc (zginął w lesie Dąbrowa k/Ciepielowa 8 września 1939 roku).

~ Henryk A. Nowak ~

W 25. rocznicę śmierci Mariana Nowaka (1926–1988) honorowego prezesa LKS „Sparta”

Już ćwierć wieku upłynęło od odejścia Mariana Nowaka, wybitnego działacza społecznego i sportowego Lublińca, który przez większość swojego życia związany był z Lublinieckim Klubem Sportowym „Sparta”.

Był jednym z zawodników drużyny piłkarskiej, a od 1955 roku członkiem władz klubu. W okresie 1959–1961 sprawował funkcję wiceprezesa, w latach 1963–1969 i 1978–1981 przewodniczącego komisji rewizyjnej. W dniu 2 lutego 1969 r. został wybrany prezesem klubu, piastując tę funkcję do 1978 r. Wiosną 1978 r. – w uznaniu zasług – klub nadał Marianowi Nowakowi godność prezesa honorowego. Do końca swoich dni brał aktywny udział w życiu sportowym klubu i miasta.

Marian Nowak urodził się 11 czerwca 1926 r. w Lublińcu, jako syn Juliusza i Jadwigi z Piotrowskich. Po ukończeniu nauki maturą w 1947 r. w Gimnazjum i Liceum im. Adama Mickiewicza w Lublińcu, studiował na Akademii Handlowej w Poznaniu. W latach 1961–1963 poszerzył swoją wiedzę z dziedziny ekonomii na Studium Ekonomiczno-Spółdzielczym PTE w Krakowie. W ramach swojej pracy zawodowej ekonomisty pracował głównie w przedsiębiorstwach spółdzielczych na terenie Lublińca i Dobrodzienia oraz w bankach. W latach 1966–1972 był dyrektorem Banku Spółdzielczego w Lublińcu. Od 1978 r. wiceprezsem RSP „Jedność” w Dobrodzieniu. Odszedł 18 czerwca 1988 r. pozostawiając żonę Dorotę oraz dwóch synów: Wojciecha – mgr inż. budownictwa oraz Romana – dr n.med., anestezjologa.

Sport był zawsze wielką pasją Mariana Nowaka. Już w dzieciństwie grał w piłkę nożną – po lekcjach na podwórkach i boiskach szkolnych. Po wojnie i po reaktywowaniu LKS-u został zawodnikiem pierwszej drużyny klubu, którego w późniejszych latach stał się wybitnym działaczem, przyczyniając się do rozwoju działalności sportowej na terenie Lublińca, zwłaszcza w zakresie sportu piłkarskiego.

Z działalnością sportową mojego brata – zarówno jako zawodnika jak i działacza, mam moje osobiste wspomnienia. Mimo, że nie byłem bezpośrednio związany ze sportem wyczynowym, lubiłem wraz z rodziną chodzić do Parku Grunwaldzkiego na niedzielne mecze, w których brał udział mój brat. Nigdy nie zapomnę wspaniałego meczu, który odbył się na boisku leśnym między LKS-em a klubem z Kalet, swoistego derby naszego powiatu. Między tymi klubami od dawna trwała rywalizacja. W meczu, który tak mocno utkwiał mi w pamięci i który odbył się w roku 1946 lub 1947, mój brat Marian grał na pozycji napastnika i był jego bohaterem. Mecz zakończył się zwycięstwem LKS-u wynikiem 2:0 a obie bramki zdobył mój brat, w tym jedną silnym odbiciem piłki z woleja z odległości



Marian Nowak (1926–1988)

około 40 m, co publiczność nagrodziła entuzjastycznymi brawami.

Dużą część swojego wolnego czasu Marian Nowak poświęcał sprawom sportu, co u moich rodziców, nie zawsze było mile widziane. Również podczas studiów był sportowo bardzo zaangażowany. Przez pewien czas grał w drugiej drużynie poznańskiej „Warty”.

Gdy przestał być zawodnikiem, zajął się sprawami organizacyjnymi lublinieckiego klubu, które sprawiały mu dużo satysfakcji. Ponieważ przy boisku w Parku Grunwaldzkim nie było szatni, zainicjował realizację budowy pawilonu sportowego z szatniami i pomieszczeniami sanitariatów oraz innych obiektów i urządzeń sportowych. Tak bardzo potrzebny pawilon miał stosunkowo mały zakres funkcjonalny, co wynikało z ograniczonych możliwości finansowych klubu. Do użytku został oddany w 1968 r.

Z klubem Marian Nowak był także związany rodzinnie, co chciałbym podkreślić. Jednym z założycieli Lublinieckiego Klubu Sportowego i jego pierwszym prezesem był nasz kuzyn Alojzy Piotrowski, właściciel drogerii, znajdującej się w Lublińcu u zbiegu ulic Lompy i Mickiewicza. Klub powstał w 1936 roku w momencie, gdy istniejące słabe kluby nie były w stanie sprostać rosnącym ambicjom sportowym rozwijającego się miasta. Sponsorowi nowemu klubowi udzieliło lublinieckie kupiectwo, w tym sam prezes oraz nasz ojciec Juliusz Nowak, kupiec i przedsiębiorca, który zatrudnił w swojej firmie dwóch piłkarzy – Zygmunta Zborowskiego i bramkarza Wincentego Malinowskiego. Alojzy Piotrowski przyjął do pracy w swojej drogerii czołowego zawodnika drużyny piłkarskiej klubu Emila Kulika.

Nowy klub na terenie Lublińca odgrywał od samego początku jego istnienia ważną rolę społeczną, organizując tak bardzo potrzebne imprezy sportowo – rekreacyjne. Szczególnie duże zainteresowanie budziła piłka nożna, która była wówczas najbardziej lubianą dyscypliną sportową. Klub stanowił również wypełnienie zapotrzebowania na silny polski klub sportowy, promujący podnoszenie ciężaru fizycznej młodzieży na terenie Lublińca, otoczonego z trzech stron granicą z Niemcami. Kierownikiem drużyny piłki nożnej w nowo powstałym klubie był nasz wuj Stanisław Piotrowski, który po wojnie w 1945 roku wszedł w skład zarządu klubu. Jednym z wybitnych zawodników drużyny piłki nożnej był nasz kuzyn Henryk Roźniewski, grający na przełomie lat 40-tych i 50-tych na pozycji obrońcy i który w plebiscycie z okazji 50-lecia LKS-u na najlepszego



W trakcie omawiania dokumentacji przebudowy stadionu

zawodnika zajął 4 miejsce.

Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku odbywała się reorganizacja sportu wyczynowego w Polsce. Zaznaczyła się również również na terenie Lublińca. Powstają branżowe zrzeszenia sportowe. LKS staje się klubem spółdzielczym i przyjmuje nazwę „Spójnia”. W 1950 r. przy Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych powstaje klub „Unia”. Przy Wilejskim Przedsiębiorstwie Budowlanym powołany został K.S. „Budowlani”. W tym samym roku przy Śląskich Zakładach Przemysłu Lniarskiego powstał jeszcze jeden klub – K.S. „Włóknarz”, którego inspiratorem powstania i głównym założycielem był Marian Nowak. Klub ten swoją uwagę skierował na inne dziedziny sportu niż piłka nożna. Powstały tam sekcje: piłki ręcznej, piłki siatkowej, koszykówki, tenisa stołowego, lekkiej atletyki

oraz szermierki, umożliwiając lublinieckiej młodzieży dostęp do innych ciekawych i lubianych dyscyplin sportowych. W 1957 roku kończy się proces integracji klubów sportowych na terenie Lublińca, a najważniejszym klubem w Lublińcu staje się LKS „Sparta”. Wówczas na stanowisko wiceprezesa wybrany został Marian Nowak.

Marian Nowak, swoją działalność sportową traktował zawsze jako swoje hobby, starając się z wielkim zaangażowaniem o rozwój sportu na terenie Lublińca. Społecznie brał udział w pracy różnych gremiów. Za swoją pracę zawodową i społeczną uhonorowany został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma odznaczeniami, m.in. Złotą Odznaką „Zasłużony w Rozwoju Województwa Katowickiego” i Złotą Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”.



Marian Nowak z drużyną piłki ręcznej

Sylwiusz von Aulock - dobrodziej nie tylko Kochanowic

W październiku 2013 minie 190 lat od poświęcenia kościoła parafialnego w Kochanowicach. Będzie to też 170. rocznica śmierci jego fundatora Sylwiusza von Aulock. Z tej podwójnej okazji warto przypomnieć postać tego zasłużonego nie tylko dla Kochanowic, ale i dla całego powiatu człowieka.

Poniższy tekst jest tłumaczeniem wpisu do księgi zgonów parafii kochanowickiej:

„Fundator tutejszego kościoła, założyciel parafii, Pan Sylwiusz von Aulock, dziedziczny i sądowy pan państwa kochcickiego i kochanowickiego, starszy stanów lublinieckich deputowany do lublinieckiego sejmiku powiatowego, Rycerz Zakonu Strażników Grobu Świętego w Jeruzolimie, Kawaler Orderu Orła Czerwonego trzeciej klasy ze wstęgą etc.

Urodził się 9 września 1784 w Zdziechowicach w powiecie kluczborskim w katolickiej rodzinie. Ojciec jego, właściciel ziemski w Zdziechowicach Górnych nazywał się też Sylwiusz a matka – Józefa z domu von Strachwitz. 6 czerwca 1809 poślubił on Caroline, drugą córkę radcy rządowego i właściciela ziemskiego pana Gotfryda Henryka von Kehler w Jaworze koło Świdnicy i jego żony pani Marii von Adlersfeld, urodzoną 19 marca 1780 roku, z którą aż do jej śmierci 18 marca 1843 żył bardzo szczęśliwie i spłodził siedmioro dzieci, z tychże tylko pięcioro a mianowicie: Josef, Carl, Adela, Sofia i Laura, dożyły dorosłego wieku.

Początkowo mieszkał w Gorzowie Śląskim. W roku 1811 współdziedziczył od pani von Larisch majątek Kochcice, które w całości wykupuje od współdziedziczących za 80.000 talarów i mieszka tam aż do roku 1817. Zostaje tu królewskim komisarzem marszowym i starszym stanów powiatowych.

W 1817 kupuje od pani von Blacha za 92 000 talarów Kochanowice i przeprowadza się tutaj, 1825 zostaje kuratorem dłużnym państwa Koszcin, później deputowanym do sejmiku powiatowego i otrzymuje stopniowo wymienione na początku orderzy za swoje wielokrotne zasługi dla państwa, kościoła oraz szkół.

W latach 1822 i 1823 wybudował całkowicie na własny koszt tutejszy piękny i obszerny kościół, postarał się o szaty liturgiczne, obrazy, w 1831 zlecił ulanie trzech nowych dzwonów oraz kupił piękną monstrancję za 100 talarów; podarował zestaw puzonów, kafelki, lampy, świeczniki, kadzielnice; zlecił na swój koszt wykonanie ołtarza głównego i ozdobił go pięknym krzyżem.

W 1830 wybudował mieszkanie dla lokalnego kapelana, które w roku 1843 podwyższa o drugie piętro, aby nowy proboszcz otrzymał potrzebne mu pomieszczenie. W 1840 podarował parafii 50 morgów ziemi, wybudował pomieszczenia gospodarcze i przekazał proboszczowi nawet pewną ilość żywego inwentarza.

Jego ulubionym projektem było utworzenie tutejszej, nowej parafii, którego realizacja spowodowała wiele kosztów i kłopotów. Pomimo wielu trudności został niedawno zakończony; niestety tego rezultatu już nie dożył. Aż do śmierci stara się o świecę na ołtarz i dostarcza wino mszalne ze swojej piwnicy.

Dwom młodym księżom zorganizował świetnie prymicje. Od roku 1823 aż do śmierci z jego stołu korzystają każdorazowi, tutejsi duchowni. Oddał część swojego ogrodu na urządzenie cmentarza. Czyż ktoś może tu wszystko wyliczyć, co jeszcze ten szlachetny człowiek dla kościoła tutejszego i też gdzie indziej uczynił?

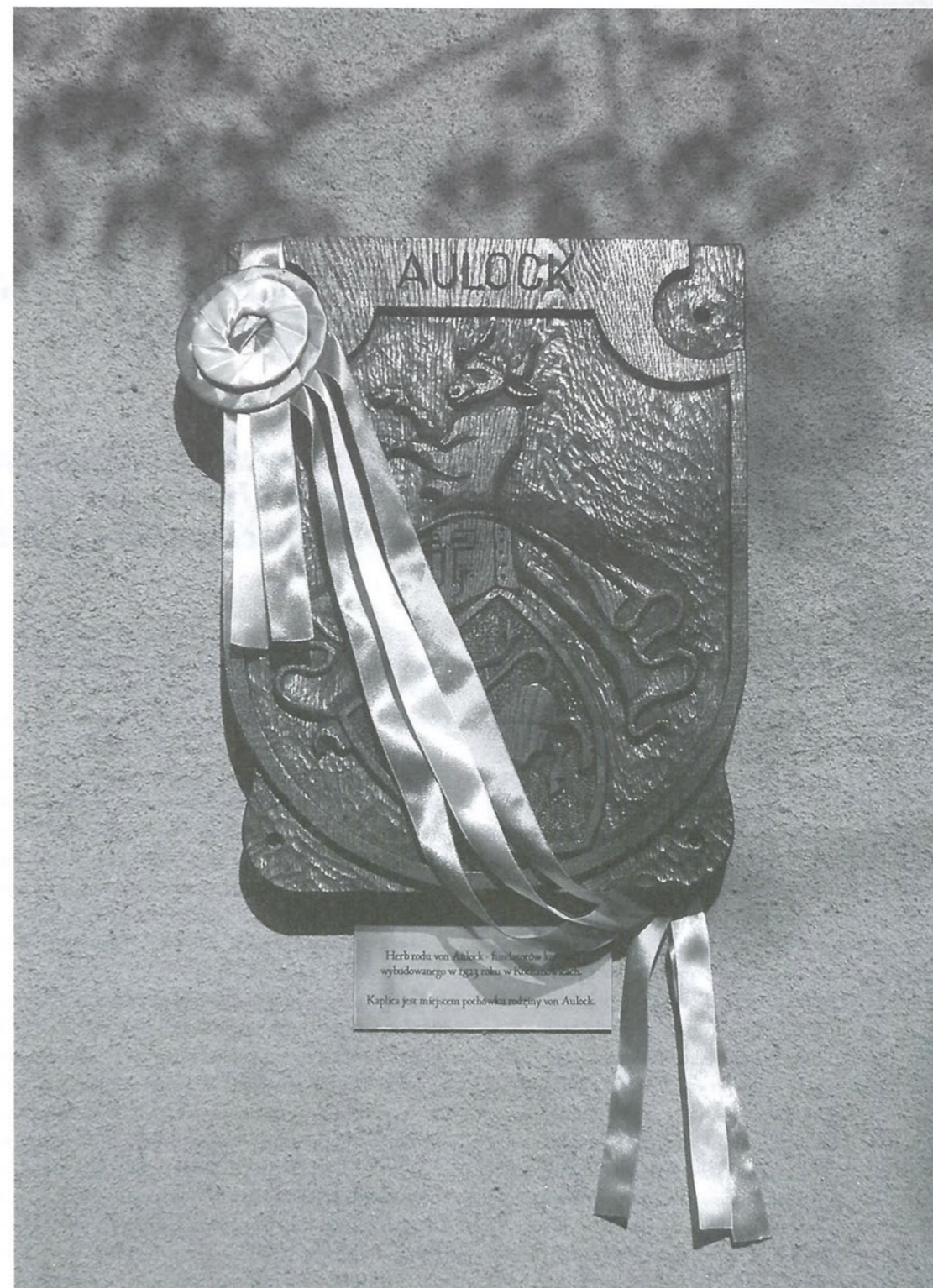
Był też później główną osobą przy budowie nowego kościoła Świętego Krzyża w Lublińcu i tylko jego dziełem jest, że powołano do życia i pozostał w Lublińcu, zakład Grotowskiego.

I ten szlachetny człowiek, ten dobroczyńca kościoła i biednych, przez wszystkich opłakiwany, powodując ogromny smutek całego powiatu, dobrze przygotowany i łaskami świętego kościoła wzmocniony, zmarł 29 tego października 1843 roku, w piątej godzinie wieczornej, i spoczywa w rodzinnym grobowcu.

Jego pobożna, dobra i na równi z nim poważana i dobroczynna żona Carolina przeszła do wieczności 7 miesięcy przed nim, a mianowicie 18 marca 1843. On zmarł na skutek puchliny wodnej, ona z powodu zapalenia wątroby. W ich pogrzebach wzięło udział wielu ludzi. Nawet zakon paulinów z Częstochowy, którego zmarły był honorowym członkiem, reprezentowało na pogrzebie sześciu duchownych. Pan v. Aulock liczył w chwili śmierci 59 lat, 1 miesiąc i 20 dni; jego żona prawie 63 lata, ponieważ pożegnała się z życiem na jeden dzień przed urodzinami.

Niech spoczywają w pokoju!

W jego testamencie znalazł się legat 800 RM na kupno nowych organ.”



Z kolei w gazecie Loben-Guttentager Kreisblatt, w artykule „Sen pana Aulocka”, można przeczytać bardzo ciekawą historię zawalenia się wieży kochanowickiego kościoła i cudownego ocalenia pracujących tam wówczas ludzi:

„Właściciel ziemski Kochanowic, Silvius von Aulock, spisał następujące wydarzenia:

Po szczęściem przeżytej wojnie 1812–1815, postanowiłem ku chwale Boga Najwyższego i ku czci św. Laurentiusa (Wawrzyńca) wybudować w moich Kochanowicach kościół. Jednak sytuacja ekonomiczna nie pozwalała mi na rychłe rozpoczęcie budowy. Zacząłem więc gromadzenie materiałów budowlanych. Kamień węgielny złożono dopiero dnia 19.3.1822.

Proboszcz Giering opowiada o przebiegu budowy:

Po założeniu fundamentów, budowa szybko posuwała się do przodu. Murarze jednak coś przeoczyli przy założeniu fundamentów, toteż wieża która była bliska ukończenia zawaliła się.

Osobliwy sen fundatora tegoż samego ranka, zapobiegł jeszcze większemu nieszczęściu.

Silvius von Aulock pisze o tym tak:

Rankiem 14. sierpnia poczułem się słabo, toteż ponownie położyłem się do dalszego snu. Śniło mi się wtedy, że jestem w kościele i widzę, jak trzy cegły wypadają ze sklepienia wieży i wieża się rozpada. W tym

momencie obudziłem się i czym prędzej udałem się na plac budowy. Na murze wieży zobaczyłem szczelinę, która się poszerzała. Zawołałem na murarzy, aby jak najprędzej zeszli na dół. W obecności ziemianina pana Gracza, wypadły trzy cegły ze sklepienia i wieża się zawaliła, jednak nikt z ludzi nie ucierpiał.

Proboszcz Giering pisze dalej:

Pomimo uciążliwej pracy przy uprzątnięciu gruzu, prace przy budowie wieży trwały nadal. W dniu urodzin fundatora 9. września osadzono kopułę wieży, w której umieszczono monety i dokumenty. Dnia 8. października 1823, nowy kościół o wymiarach: 70 stóp długości, 42 stopy szerokości i 30 stóp wysokości, został uroczystie poświęcony przez kuzyna fundatora, kanonika Karla von Aulock, który w tym czasie był sufraganem wrocławskim i biskupem tytularnym Maroka.”

Dla upamiętnienia zasług rodziny von Aulock, 16 maja 2013 w Kochanowicach poświęcono i odsłonięto herb rodowy, który zawisł obok kościoła, na ścianie krypty grobowej.

ŹRÓDŁA:

1. „Wpis do Księgi Zgonów parafii kochanowickiej z lat 1844 – 1887” (odczytanie i tłumaczenie Gisela Sievers, opracowanie dr Arkadiusz Baron)
2. „Loben-Guttentager Kreisblatt rok 1977” (tłumaczenie Krystyna Bul)
3. internet

Jeszcze o tożsamości śląskiej

W ostatnim czasie dość często przewija się w naszych mediach tematyka związana z problematyką i tożsamością śląską, gdyż od dwudziestu lat swój renesans przeżywają dążenia Górnoślązaków do większego upodmiotowienia ich historii, moży i kultury.

W doniesieniach tych owe zagadnienia traktowane są zwykle dość zdawkowo i najczęściej bardzo emocjonalnie. Głos w tej sprawie zabierają najczęściej politycy i na ogół są to wypowiedzi oraz osady dyletanckie, pełne hysterii. Wywoływana jest atmosfera niepokoju, straszy się wzrastającymi nastrojami separatystycznymi Ślązaków, a nawet ich ciągłymi proniemieckimi. Prorokuje się nawet rozbiecie dzielnicowe i rozpad państwa.

O prawdziwych odczuciach i aspiracjach Górnoślązaków można się dowiadywać tylko sporadycznie z bardzo oszczędnie i wybiórczo serwowanych artykułów w prasie regionalnej.

Natomiast brak jest szerokiej i rzeczowej debaty publicznej na temat nabrzmiałych problemów oraz dalszych losów tego regionu. Uważam też, że powinno się to odbywać przede wszystkim z udziałem rdzennych mieszkańców tej ziemi, gdyż dotychczas są oni traktowani przez Warszawę przedmiotowo, są oni obiektem manipulacji i wprawia się im półprawdy. Jeśli misja opiniotwórcza mediów ma mieć sens w dyskusji o tożsamości Ślązaków, to nie mogą one im kneblować ust. Nie można odbierać głosu tym, którzy budowali los i charakter tego regionu i którzy powinni mieć najwięcej do powiedzenia.

Choć po 1989 roku likwidowane są przez historyków białe plamy w dziejach Polski to Śląsk nadal jest dla Polaków krainą nieznaną. W ocenie Ślązaków nadal pokutują o nich krzywdzące opinie. Próbuje się skłecić ich „nową tożsamość”. Kiedyś dla Prusaków i Niemców byli oni zbyt polscy, a dla Polaków – tak jak dawniej, tak niestety i dziś wydają się oni zbyt niemieccy. Opinię taką rozgłaszają nawet przedstawiciele naszych władz państwowych.

Ten przygraniczny region miał zawile dzieje, na jego specyfikę oraz tożsamość jego mieszkańców wpływ wywierały różne czynniki i zawirowania dziejowe toteż ta tożsamość jest wielokulturowa. Od zamierzchtych czasów kształtowała ją kultura ludowa z jej starodawną obyczajowością, ale oddziaływały na nią również wpływy kulturowe mocarstw, do których należał kolejno Śląsk przez osiem stuleci. Trwałym śladem po wpływach słowiańskich i przynależności do Polski pierwszych Piastów pozostał staropolski dialekt z jego gwarowymi odmianami. Jednak od dwunastego wieku Śląsk był również narażony na przyjmowanie obcych wpływów związanych z przynależnością do Czech, monarchii austriackiej, Prus i Niemiec. Mocarstwa te ustanawiały tu swoje prawa i zniewalały miejscową ludność. Przez długie wieki rządili tu obcy dla nich były tu najlepsze stanowiska a tubylcza ludność była tylko do poddańczej roboty. Rodziło to wśród Ślązaków poczucie krzywdy oraz opór przeciw zniewoleniu. Następnym tego było ukształtowanie się w nich silnego poczucia wspólnoty i odrębności etniczno – regionalnej. Wszystkich łączyła tu owa śląskość z jej gwarą, silnym przywiązaniem do wiary katolickiej, pracowitością i obyczajowością przejętą od ojców. Cechy te były przez całe wieki spoiwem i jądrem tożsamości etnicznej ludu górnośląskiego. Prowadzone przez Prusaków i Niemców próby zgermanizowania Górnoślązaków przynosiły nikłe efek-

ty. Jednak mimo, że na co dzień posługiwali się oni polską gwarą, a także mimo działalności XIX – wiecznych krzewicieli polskości na tym terenie, takich jak Józef Lompa, Juliusz Ligoń, Karol Miarka i Konstanty Damrot, nie oznaczało to jeszcze, że posiadali oni jednoznacznie polską świadomość narodową. Z reguły w swojej masie nie uważali się ani za Niemców, ani za Polaków, lecz za „Ślonzoków”.

Jednak to długotrwałe zniewolenie sprawiło też że Ślązacy przyzwyczaili się również do pewnej uległości, do tego by nie dążyć do ponadprzeciętności („Siedź w koncie bałamoncie, a znajdom cie”). Ta ukształtowana w nich pokora sprawiła, że nawet później, po plebiscycie śląskim, a także w czasach powojennych byli oni zwykle tylko do szarej roboty a elitę społeczną stanowili zwykle ludzie z zewnątrz. W okresie międzywojennym w autonomicznym województwie śląskim większość stanowisk obsadzano ludźmi przybyłymi głównie z dawnej Galicji. Również Polska Ludowa utrwałała wśród Ślązaków do poczucie krzywdy, a nawet obcości. Kadry partyjne i urzędnicze wywodziły się zwykle z Zagłębia Dąbrowskiego, a wobec rdzennych mieszkańców Górnego Śląska okazywana była nieufność i wrogość. Trudno było być Ślązakiem. Dyskryminowano gwarę śląską. Zniknęły stare śląskie nazwy ulic i miejskich dzielnic. Nawet Katowice przemianowano na Stalinogród a województwo na stalinogrodzkie.

W celu osłabienia elementu śląskiego przeprowadzono również na szeroką skalę politykę „wymieszania” ludności. Najpierw, po wojnie osiedlono na Śląsku znaczną ilość repatriantów przybyłych z kresów wschodnich, a później, szczególnie w okresie gierkowskim budowane w miastach osiedla mieszkaniowe przeznaczane były głównie dla ludności z głębi Polski, którą zwabiano możliwością zatrudnienia w przemyśle śląskim i obietnicami łatwego uzyskania mieszkania.

Rozmywaniu śląskości miały też służyć kolejne „reformy” podziału terytorialnego. Górny Śląsk rozbito na dwa województwa – część wschodnią i Opolszczyznę. Na dwie dekady oderwano od tego regionu północne powiaty (lubliniecki i oleski) i włączono je do sztucznego tworu, jakim było województwo częstochowskie. Ten sam cel miała też osiągnąć ostatnia reforma z 1999 roku. Utrzymano w mocy podział G. Śląska na dwa województwa. Do województwa śląskiego włączono znaczne obszary, które nigdy nie miały nic wspólnego ze Śląskiem i których ludność chyba nigdy nie zidentyfikuje się w pełni ze Ślązakiem. Województwo to stanowi zlepek grup etnicznych różniących się kulturowo. Ta pseudo – reforma zignorowała zaszczości historyczne i nie uwzględniła tendencji europejskich, zalecających tworzenie dużych regionów – landów charakteryzujących się długimi tradycjami historyczno kulturowymi. Realizowana przez dziesiątki lat polityka „wymieszania” ludności oraz kolejne reformy administracyjne nasiliły nawet antagonizm regionalny, objawiający się w podziale na „hanyśów” i „goroli”. Ta błędna polityka naszych władz zniweczyła ideę jedności historycznych ziem górnośląskich.

W ostatnich dziesięcioleciach Śląsk stał się ofiarą polskiej transformacji. W tym zakątku Polski żyje się coraz trudniej. Zlikwidowanych zostało

wiele zakładów pracy, bezrobocie przekracza średnią krajową, w miastach wyrastają dzielnice nędzy, kolej jest w fatalnym stanie. W tych warunkach utrwała się dziś na G. Śląsku przeświadczenie, że jest to region odtrącony. Pogarszające się warunki bytowe i brak perspektyw życiowych poczyniły dodatkowe spustoszenie w regionalnej świadomości Górnoślązaków, szczególnie na Opolszczyźnie. Region ten opuszcza i emigruje na Zachód kolejna fala jego mieszkańców, głównie ludzi młodych, wyludnia się Opolszczyzna. Uaktywniają się ruchy dążące do autonomii, przywrócenia historycznych granic Górnego Śląska i uznania narodowości śląskiej.

Ludność G. Śląska jest zróżnicowana. Ostatni powszechny spis ludności przeprowadzony w 2002 roku wykazał, że oprócz Polaków (w województwie śląskim 92%) istnieje w tym regionie mniejszość niemiecka (w woj. opolskim 120 000, a w woj. śląskim 31 900), a znaczna część mieszkańców stwierdziła, że jest narodowości śląskiej (w samym woj. śląskim przeszło 148 500 osób). Warto nadmienić, że podobny spis ludności przeprowadzono też na terenie sąsiednich Czech w 1991r. Wykazał on, że w granicach tego państwa żyje mniejszość narodowości morawskiej (1 368 000 osób), a do narodowości śląskiej przyznaje się 45 220 osób. Należy podkreślić, że obie te grupy narodowościowe zostały przez Pragę prawnie uznane. Współistnienie różnych grup etnicznych i narodowościowych nie budzi w innych krajach obaw, np. w Szwajcarii, Niemczech, Anglii czy Luksemburgu przyjmuje się to jako stan normalny. Również autonomia spokojnie funkcjonuje w obiegu światowym jako normalna kategoria prawnie – polityczna. Tymczasem u naszych obecnych decydentów podobnie jak w PRL – u pokutuje przeświadczenie, że naród polski jest monolityczny i wszelkie oddolne dążenia domagające się większego poszanowania dla odrębności regionalnej są zjadale potępiane. W latach powojennych doprowadzono nawet do zaniku niektórych grup etnicznych (Łęków, Mazurów). Podobny los miał spotkać Ślązaków. Obecnie ich narastającymi żądaniem straszy się Polaków grożącym rozbiem dzielnicowym kraju, a nawet rozpadem państwa. Forsuje się bardzo sztywną wizję polskości, w której każdy Polak jest taki sam i tak samo pojmuje swoją tożsamość. Nie docenia się tego, że również w wielorakości kulturowej może tkwić potencjał narodu.

Dalsze bagatelizowanie przez Warszawę postulatów wysuwanych przez

Górnoślązaków może doprowadzić tylko do ich zaostrenia. Wydaje się, że eskalacja tych żądań straci swój impet, gdy uzyskają oni chociaż to minimum, to jest autonomię rozumianą nie jako separację od Polski, lecz jako samorządność. II Rzeczypospolita podeszła z wyrozumiałością do złożoności stosunków występujących w regionie śląskim i specyfiki tych ziem. Już w 1920 roku Sejm uchwalił Statut Organiczny, gwarantujący Górnemu Śląskowi autonomię z własnym sejmem i budżetem. Stało się to ważnym argumentem, który wtedy uaktywnił powstańców śląskich, a także skłonił Górnoślązaków w roku 1921 do głosowania za Polską. Później, w okresie międzywojennym autonomiczne województwo śląskie było jednym z najbardziej rozwijających się regionów i Polska tylko na tym zyskała. I dziś autonomia może uratować G. Śląsk przed dalszą degradacją. Konieczna jest głęboka restrukturyzacja życia i kierunków dalszego rozwoju tego regionu, a mogą to w dużym stopniu zapewnić – własny samorząd i inicjatywa ludzi zamieszkałych na tym terenie.

Konieczne jest też połączenie wszystkich historycznych ziem górnośląskich w jedno województwo górnośląskie. Dotychczasowa nazwa województwa („śląskie”) jest nieadekwatna bo Śląsk to również Dolny Śląsk z Wrocławiem i Legnicą. Konieczna jest też korekta jego wschodniej granicy i wyłączenie z województwa terenów nie śląskich, które dawniej należały do województw – krakowskiego, kieleckiego i łódzkiego.

Nie można dłużej ignorować faktu zaistnienia narodowości śląskiej, którą deklaruje 173 200 mieszkańców tego regionu. Państwo przyznaje obywatelstwo, ale nie może się ono wtrącać w to, kim czują się jego obywatele. Tożsamość jest aktem ich własnej woli. Była ona do niedawna niepopularna i skrywana, w ostatnich latach zaczyna się ujawniać w coraz większej skali.

Należałoby też z większą powagą potraktować wychowanie regionalne w szkołach, gdyż dotychczas jest ono tylko fikcją, a w najlepszym przypadku tylko niedoskonałą namiastką tego procesu. Przejawia się ono zwykle tylko okazjonalnie na szkolnych imprezach w postaci trojaka lub kiepskiego, gwarowego monologu. A przecież ten prawdziwy, stary Śląsk wyglądał kiedyś inaczej, był stokroć bogatszy, kipiał na co dzień cenniejszymi wartościami kulturowymi i należałoby podjąć jeszcze większe starania by go choć częściowo przywrócić.



Mapa Śląska według Martina Helwiga z XVI w.

Jan Nikodem Jaroń – krótka próba rekonstrukcji biografii

Będąc pierwszy raz na grobie mojej teściowej śp. Julii Koloch na Cmentarzu Parafialnym św. Mikołaja w Lublińcu zauważyłem pomnik, na którym oprócz imienia nazwiska znajdował się dopisek „poeta”. Był to grób poety i powstańca śląskiego Jana Nikodema Jaronia (1881–1922). Ponieważ zajmuję się literaturą, piszę wiersze, prowadzę wydawnictwo katolickie, zaintrygowała mnie postać Jaronia.

Po przewertowaniu dostępnych źródeł o życiu i twórczości tego poety ziemi lublińskiej, okazało się, że wykreowany został on przez krytykę mu współczesną, a przede wszystkim naukowców doby socjalizmu, na „wielkiego piewce walczącego Śląska”. Takie zaszufladkowanie twórczości Jaronia przetrwało do dnia dzisiejszego. Uważam, że potrzebna jest ponowna recepcja życia i twórczości Jana Nikodema z uwzględnieniem przemilczanych, szczerkowo naszkicowanych bądź niewłaściwie interpretowanych, by nie powiedzieć: zmanipulowanych, zdarzeń życiowych i materiałów literackich jego autorstwa. By nie być gołosłownym posłużę się przykładem ignorowanej, czy nawet ośmieszanej, a tak ważnej dla śląskiego poety, sfery jego religijności.

Jednym z podstawowych źródeł pisanych wiedzy o życiu i twórczości „Konrada poezji górnośląskiej” jak Jana Nikodema Jaronia nazwał Wincenty Ogrodziński, jest książka profesora Uniwersytetu Śląskiego Antoniego Gładysza pt. „Jan Nikodem Jaroń”. Publikację wydało wydawnictwo „Śląsk” w serii wydawniczej „Zasłużeni ludzie Śląska” pod redakcją Wilhelma Szewczyka, Katowice 1961.

Prawdą jest, że dzięki żmudnym pracom badawczym prof. Gładysza Jaroń mógł zaistnieć literaturze polskiej. Jednak obecność ta wymaga natychmiastowej korekty, bowiem nie uwzględnia wszystkich warstw twórczości i osobowości poety urodzonego blisko Olesna w sposób właściwy, tzn. zgodny z obiektywną prawdą. Przede wszystkim mam na myśli natychmiastowe poddanie do retuszu niewystarczająco i niewłaściwie zaprezentowanej przez dotychczasową krytykę sfery religijności, a konkretnie mówiąc: katolicyzmu Jana Nikodema Jaronia.

Ujęcie antyklerykalne biografii Jaronia widać od pierwszej strony wspomnianej książki, kiedy to jej autor podśmiewuje się z rodziców urodzonego we wsi Jastrzygowice koło Olesna literata. Oni to bowiem

„w jakiejś dziwnej subtelności uduchowieńcu nieomal, wypisanym na twarzyczce chłopca od najmłodszych lat, dopatrzili się wiadomych oznak kapłańskiego powołania”. Dlatego, według profesora, „postanowili któregoś dnia oddać syna na księdza, uzyskując na starość dzięki takiej decyzji honor, lepsze życie i błogosławieństwo boże”. Powołanie widzi więc Gładysz nie w kategoriach teologicznych jako wybranie człowieka do służby bożej przez Stwórcę, ale w kategoriach czysto doczesnych, pragmatycznych: to rodzice wybierają dla swojego dziecka drogę życia z Bogiem.

Autor omawianej biografii konkluduje, że „powołanie tam było, co do tego rodzice nie pomylili się. Tylko, że nie do kleszego rzemiosła, a do wielce nieuchwytniej – poetyckiej sprawy”. W tym przypadku profesor ośmiesza się jako naukowiec sugerując czytelnikowi jakoby kapłan nie mógł pisać wierszy, nie miał szans zostać liczącym się twórcą, czemu zaprzecza plejada znakomitych twórców poezji polskiej chodzących na co dzień w sutannie. Młody Jaroń udając się wraz z rodzicami na edukację do Bytomia wstąpił po drodze do przydrożnego kościółka św. Anny przed Olesnem. W świątyni „najzarliwiej modliło się matczyisko, wiadomo – syna w tej chwili oddawała niebiosom. Oddawała, biedna, i to na zawsze, ale gdybyż wiedziała, na jaki los!”.

Zwraca uwagę kąśliwość stylu narracji, jego prześmiewczy ton, którym operuje uczonego krytyk (klesze rzemiosło, matczyisko) opisując początkowe koleje życia Jana Nikodema. Zamiast obiektywnie napisać o trosce rodziców za religijne wychowanie syna, autor biografii naśmiewa się z ich bogobojności. W powierzeniu się Bożej Opatrzności widzi jedynie naiwność ludzką.

W pierwszych latach mieszkania w bytomskim zakonnym konwiktzie kontakty Jaronia ze światem „były siłą rzeczy bardzo ograniczone, bo chłopcy za murami konwiktu przy targowisku byli pod ścisłą

kontrolą wychowawców – księży. Przeznaczeni w zasadzie do stanu duchownego, musieli od początku wdrażać się w wypróbowane przez wieki prawidła zakonnego życia i współżycia. W konwiktzie panowała stale nieprzyjemna atmosfera donosicielstwa i szpiegostwa”.

I tak źle, i tak niedobrze. Gdyby kontroli nie było czy też regulaminu, który każdy uczeń bez przymusu aprobował, to profesor postawiłby zarzut, że u księży panowała swawola i rozpusta. Najlepszy dowód, że nikt nie był zmuszany, by pozostać księdzem stanowi właśnie Jaroń, który duchownym nie został. Cieszy się więc Gładysz, że „w ostatnim roku nauki udało się Jaroniowi wyrwać z konwiktu i zamieszkać w mieście”.

Według Gładysza dobrze się stało, że po niepowodzeniach szkolnych w Bytomiu Jaroń nie musiał wracać do rodzinnej wsi, ponieważ „tam nie miałby już po co wracać syn chłopski, który poszedł na księdza i przepadł w szkołach. Wiadomo, jak przyjęłaby go wieś, nie wchodząc w przyczyny niepowodzenia”. Ja – twórca pochodzący ze wsi, nie wiem, jak przyjęłaby wieś chłopca, któremu w mieście podwinęła się noga. Czy podobny los jak reymontowską Jagnę? Szanowny pan profesor mógł wytłumaczyć mi rzecz dla siebie oczywistą.

Autor biografii widzi zawiedzione nadzieje rodziców, rozczarowanie a nawet zatrzwożenie, gdy „marnotravny syn nie zmądrzał i nie wybrał niezawodnego księdzowskiego chleba”. Gdy z kilkuletniej młodzieńczej eskapady wrócił ogólnie wyczerpany z widmem nieuleczalnej choroby. Zbyt daleko posunięte w interpretacji jest moim zdaniem stwierdzenie Gładysza, że „Jan Nikodem utracił więź z ojcowizną, a nie znalazł sobie drogi w świat”, bowiem kilka zdań potem zaprzecza takiemu stanowi rzeczy pisząc, że dzięki pomocy rodziców Jan Nikodem dla podratowania zdrowia pojechał do szwajcarskiego kurortu Davos.

Gładysz z lubością wraca do wątku „księżowskiego” w biografii Jaronia ciągle interpretując go według swojego widzimisię tzn. w myśl światopoglądu marksistowskiego. Tym razem stwierdza, że po powrocie z zagranicy razem z matką „zdawali sobie sprawę, że jeśli Janek chce coś osiągnąć w życiu, to nie przez służbę bożą”. Jakiś czas później krytyk uznaje, że Jaroń postępuje zgodnie z ówczesną młodopolską manierą: „świadomie i z premedytacją nosi wobec wszystkich i wobec siebie swa poetycką maskę jakby innej twarzy nie miał. Jest już teraz na stałe – kapłanem, pomazańcem bożym”. Nie mogę zgodzić się z osądem krytyka, że Jaroń był „otulony młodopolską peleryną wzgardy dla pospolitości”. Nic bardziej krzywdzącego dla człowieka pochodzącego ze wsi, walczącego ciałem i piórem o prawa ludu pracującego, gloryfikującego w twórczości swą małą ojczyznę – Śląsk. Jaroń nigdy nie tylko nie wyparł się swych korzeni: wiejskości, śląskości i katolicyzmu, ale służył im zarówno poprzez życie jak i twórczość.

Wśród kilku diagnoz postawionych przez Gładysza dotyczących wzrostu u Jaronia „wyraźnego mistycyzmu”, którego owocem był utwór „Widzenie ks. Franciszka”, mógł być „symptom wkradającej się już wtedy do organizmu poety śmiertelnej choroby”. Profesor uważa, że „Jak na 36-letniego mężczyznę przejawia Jaroń zastanawiając i stale rosnący przyływ religijnego mistycyzmu i fatalizmu” i jako dowód niepokojących uczuć religijnych naukowiec przedstawia treść kartki pocztowej Jana Nikodema do matki. Przyczyna nadmiernej religijności poety jest według Gładysza jedna: „oddziaływanie księży, z którymi

w czasie zawieruchy wojennej – jako jedynymi pozostałymi na miejscu przedstawicielami inteligencji śląskiej – obcował Jaroń”.

Na temat pogrzebu Jana N. Jaronia „na cichym cmentarzu w Lublińcu” poświęca Gładysz dokładnie 4 zdania, z których nie dowiemy się nic na temat Mszy świętej pogrzebowej czy testamentu poety.

Krytyk cieszy się, że dorobek poety nie został skazany na zapomnienie, iż „na szczęście nie musiał go przypominać tylko wąski, choć wpływowy krąg polskiego kleru na Śląsku”.

Choć przyroda miała dla Jaronia szczególnie bogatą wymowę (np. wiersz „Dzień na wsi”) niektóre utwory profesor niesłusznie klasyfikuje jako „przyrodnicze”, gdy tymczasem opisując naturę poeta przekazuje czytelnikowi wartości wyższe, uniwersalne, nadprzyrodzone. Np. wiersz „Mgły” ma wydźwięk eschatologiczny, apokaliptyczny. Choć Jaroń pisał wiersze miłosne (np. cykl 20 sonetów „Sezami”), a przede wszystkim patriotyczne, w których wyrażała się jego bezgraniczna miłość do rodzimej ziemi, do Śląska (np. „Rota górnośląska”), do Polski (np. wiersz „Polska mowa”) to zawsze pozostawał człowiekiem religijnym, głęboko wierzącym w Opatrzność Boga (np. wiersz „W bezdrożach”), wiernym synem kościoła katolickiego. Pokłosie takiej postawy, znajdujemy zarówno w jego twórczości: w poezji, w dramatach jak i w życiu codziennym. Oprócz wierszy strictly religijnych Jaroń pisał także wiersze o charakterze religijno-filozoficznym (np. wiersz „...nie zmartwychwstaną raz przeżyte chwile...”), wykorzystywał motywy religijno-mitologiczne (dramat „Wojsko św. Jadwigi”).

Prof. Gładysz wychwytuje z twórczości Jaronia wątki i motywy o zabarwieniu patriotycznym nazywając je utworami politycznymi (np.

*Prawdą jest, że dzięki żmudnym
pracom badawczym prof. Gładysza
Jaroń mógł zaistnieć literaturze
polskiej. Jednak obecność ta wymaga
natychmiastowej korekty, bowiem
nie uwzględnia wszystkich warstw
twórczości i osobowości poety urodzonego
blisko Olesna w sposób właściwy, tzn.
zgodny z obiektywną prawdą. Przede
wszystkim mam na myśli natychmiastowe
poddanie do retuszu niewystarczająco
i niewłaściwie zaprezentowanej
przez dotychczasową krytykę sfery
religijności, a konkretnie mówiąc:
katolicyzmu Jana Nikodema Jaronia.*

w takim duchu analizuje akt V scenę 8 dramatu „Wywłaszczenie”). Krytyk nie podejmuje żadnej próby analizy teologicznej utworów, które swą treścią i wymową jednoznacznie takiej interpretacji domagają się albo traktuje je powierzchownie, poświęcając im 1–2 zdania, przykład: „Pieśni Mojżesza”.

Śląski krytyk pisze, że „tónów do swej młodzieńczej poezji zapożyczał Jaroń od Petrarcki, Kochanowskiego, Goethego, Mickiewicza, Morsztyna”. Wśród przewodników Jaronia po krainie poezji prof. Gładysz wymienia jeszcze Słowackiego, Asnyka, Horacego. Przeżyję, że pomija Konopnicką, a nawet Dantego. Boli mnie jednak fakt, że jako źródło literackiego natchnienia Jaronia całunem ciszy przykryte zostało zostały „Żywoty świętych”, a przede wszystkim

„Pismo Święte” (w wielu wierszach eksploatowany pojedynk Dawida z Goliatem).

Choć z niewieloma fragmentami książki prof. Gładysza mogę się zgodzić, to jednak podpisuję się pod jej zakończeniem, że „nie można spuścić literackiej autora „Wywłaszczenia” mierzyć zwykłą miarą. (...) Polska literatura na Śląsku wymaga stałego uwzględniania historycznych warunków, w których przyszło żyć i działać danemu twórcy (...) nie ma chyba pełnej znajomości tragicznych często dziejów piastowskiego Śląska bez wiedzy o ludziach tej Ziemi”. Dodajmy: wiedzy obiektywnej, prawdziwej.

By tak się stało, podjąłem próbę zweryfikowania biografii Jana Nikodema Jaronia. W przygotowywanej do publikacji książce pragnę oczyścić życiorys bliskiemu memu sercu poety z naleciałości czasów komunizmu i zaprezentować go czytelnikom jako twórcę i człowieka religijnego.

Rozwój historyczny administracji Kościoła katolickiego w granicach obecnego powiatu lublinieckiego

Jednym ze świadectw żywotności Kościoła katolickiego jest rozwój sieci wspólnot składających się na parafie, dekanaty, diecezje i metropolie mające łączność z papieżem i tym samym wyznającą jedną wiarę.

Już misyjny nakaz Chrystusa: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19), można uznać, iż zakładał rozwój Kościoła w wymiarze ludzkim (kerygmat, katecheza) jak i terytorialnym. Czystość wiary oraz, wspomniana wyżej, łączność z kolejnymi Następcami św. Piotra domagała się, już w czasach apostołskich, uporządkowania kwestii administracyjnych i jurysdykcyjnych. Oczywiście proces dziejowy ukazuje różne tendencje w poszczególnych regionach naszego globu co, upraszczając nieco, wynikało zarówno z przyczyn politycznych, rozwoju prawa kanonicznego dla całości Kościoła jak i tradycji tzw. Kościołów partykularnych (obszar państwa lub diecezji). Dodatkowo podziały administracyjne kościelne i państwowe niemal nigdy nie pokrywają się ze sobą, co wynika z autonomii w stanowieniu przez Kościół swojej sieci podziałów terytorialnych.

Obecny obszar powiatu lublinieckiego nie wchodzi w całości w skład jednej diecezji. Także w przeszłości ziemia ta posiadała inną przynależność diecezjalną, istniał tutaj inny podział dekanalny. Zagadnienie, jest bardzo interesujące oraz niebawem złożone. Można bowiem tutaj wyodrębnić różne wątki historyczne wpływające na rozwój administracji kościelnej. Jednak dla jasności przekazu przyjrzyjmy się tematowi w sposób chronologiczny, wskazując podstawowe daty i osadzając wszystko w konkretnym kontekście historycznym.

Początki chrześcijaństwa na Górnym Śląsku są bardzo trudne do odtworzenia. Zachowane źródła pozwalają jedynie ogólnikowo spojrzeć na rozwój Kościoła na tym terytorium. Podstawowym pytaniem jest zetknięcia się tu-tejszej ludności z nauką Jezusa Chrystusa. Pewną łatwość oglądu dają nam szczegółowe zestawienia plemion zamieszkujących obszar górnośląski między IX a XI wiekiem. Byli to Gołężycy – zamieszkujący obszar źródeł Odry aż po Cieszyn, Wiślanie – zajmujący największy obszar oraz Opolanie. Obszar dzisiejszej Ziemi Lublinieckiej należał do plemienia Opolan, a granica między nimi i Wiślanami przebiegała przez obszar obecnych lasów lublinieckich. Taki podział wskazuje, iż tutejsza ludność nie spotkała się z chrześcijaństwem, które próbowano wprowadzić na obszarze państwa Wiślan po jego chwilowym podboju, końcem IX wieku, przez państwo Wielkomorawskie oraz misję św. Cyryla i Metodego. Dodatkowo interesujący nas obszar był bardzo słabo zamieszkały, pokryty lasami i bagnami.

Sytuacja Górnego Śląska, a w tym Ziemi Lublinieckiej, zmieniła się z chwilą powstania państwa Mieszka I. Około roku 990 został wystawiony w kancelarii władcy dokument *Dagome Iudex* adresowany do ówczesnego papieża. Zostało w nim zaznaczone, iż granica państwa polskiego opiera się na zachodzie m.in. na wododziale Odry i Morawy. Syn Mieszka Bolesław Chrobry zreorganizował i umacniał swoje państwo, za czym poszła też intensywna chrystianizacja ludności. Unormowania wymagała również administracja kościelna. Asumpt do tego dała pielgrzymka cesarza Ottona III

do grobu św. Wojciecha w 1000 roku. Utworzono wówczas pierwszą polską metropolię w Gnieźnie oraz dwa podległe jej biskupstwa: w Krakowie i Wrocławiu. Pomijając w tym miejscu elementy prawne należy jedynie stwierdzić, że Górny Śląsk został przydzielony do diecezji krakowskiej i wrocławskiej według podziału plemiennego: Wiślanie do krakowskiej, Gołężycy i Opolanie do wrocławskiej. W tej sytuacji obszar dzisiejszej Ziemi Lublinieckiej wchodził w skład obu wymienionych diecezji, tj. tereny wokół Lubszy i Woźnika do Krakowa, a pozostały obszar do Wrocławia. Dla formalności należy nadmienić, iż Ziemia Lubliniecka była wówczas niemal niezamieszkała, zatem mówimy o jej przynależności diecezjalnej, ale bez struktury parafialnej.

Prawdziwy przełom w rozwoju sieci parafialnej nastąpił w XIII wieku. Najpierw w latach 1227 – 1230 dokonano podziału wewnątrz diecezji wrocławskiej na archidiaconaty i dekanaty. Cały obszar górnośląski należący do tej diecezji znalazł się w archidiaconacie opolskim, a Ziemia Lubliniecka w dekanacie krakowskim. Obszar wokół Woźnika i Lubszy znalazł się w archidiaconacie krakowskim w ramach diecezji ze stolicą w Krakowie i jednocześnie w dekanacie bytomskim. Ale najważniejsze i podstawowe dla naszych rozważań jest powstanie pierwszych parafii w obrębie obecnego powiatu. Najprawdopodobniej pierwszą parafię na interesującym nas obszarze utworzono w Lublińcu. Pierwszy kościół, i następne, były pw. św. Mikołaja. Ustanowienie parafii datuje się na ok. 1272 rok i związana jest z lokacją Lublińca na prawie niemieckim przez księcia opolskiego Władysława (1246 – 1281). Lubliniec miał wchodzić w skład koncepcji linii obronnej księcia rozciągającej się od Żor do Lublińca. O tym, że parafia mogła być erygowana w latach siedemdziesiątych XIII wieku świadczy fakt, iż znajduje się ona w niebagatelnym dokumencie z przełomu XIII i XIV wieku *Liber fundationis episcoporum vratislaviensis*. Księga ta podkreśla lokację miejską i wskazuje na dziesięciny, które mieszkańcy musieli uiszczać. Okazuje się, że nie posiadało ono już wtedy, tj. ok. 1305 roku, tzw. wolnizny. Według L. Musioła świadczy to o ugruntowanej, kilkudziesięcioletniej lokacji. Do parafii, jak podaje *Liber fundationis*, należały pobliskie wsie: Droniowice, Łągiewniki Wielkie, Pawonków, Lisowice, Draliny, Glinica, Sadow, Wierzbie, Cieszowa.

Stosunkowo szybko, bo ok. 1331 roku, doszło do podziału parafii lublinieckiej i wyodrębnienia nowej placówki w Sadowie z kościołem pw. św. Józefa. Jej powstanie było w pewien sposób rzeczą naturalną, gdyż wieś ta leżała na szlaku handlowym z Woźnika do Olesna. Zatem w XIV wieku i następnych stuleciach przyłączono do parafii sadowskiej wsie Droniowice, Wierzbie i Cieszową.

Ciekawie przedstawia się erygowanie parafii w Lubecku. Nie występuje ono w *Liber fundationis*, ale pojawiło się już w dokumencie z 1226 roku, gdzie biskup wrocławski Wawrzyniec zakazał czerpania korzyści z tamtejszej komory celnej. Według ks. Franciszka Maronia fakt interwencji biskupa w sprawy świeckie może oznaczać, iż że istniał tam kościół. Jednak na podstawie późniejszych dokumentów podniesienie lubeckiej wspólnoty do rangi parafii nastąpiło ok. 1362 roku.

Ostatnią z parafii leżącą na interesującym nas obszarze i jednocześnie w diecezji wrocławskiej oraz dekanacie oleskim, a powołaną u schyłku średniowiecza jest Pawonków. Prawdopodobnie kościół pw. św. Katarzyny istniał już w pierwszej połowie XV wieku i mógł być tzw. kościołem filialnym parafii lublinieckiej. Jednak zapewne rozwój samego Pawonkowa i okolicznych wsi sprawił, iż w 1550 roku została tutaj erygowana parafia.

W części diecezji krakowskiej, która obejmowała tereny dzisiejszej Ziemi Lublinieckiej powstały w średniowieczu dwie parafie, w Lubszy i Woźnikach. Parafia w Lubszy powstała w drugiej połowie XIII wieku i jak wykazuje wspomniany ks. F. Maroń mogło to nastąpić na zasadzie przeniesienia parafii z pobliskich Psar do Lubszy, która w tym czasie otrzymała lepsze uposażenie ekonomiczne. Stąd można dalej wnioskować, że w Psarach istniała wcześniej parafia lub przynajmniej świątynia, w której prowadzono duszpasterstwo. W drugiej połowie XIV wieku wybudowano w Lubszy kościół pw. św. Jakuba Starszego Apostoła.

Woźniki wspomniane są już w 1206 roku w kontekście zamiany dziesięciny z tej wsi z klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu na rzecz Wawrzyńcyc k. Krakowa. Wieś znajdowała się na szlaku handlowym, dlatego rozbudowywała się i zyskiwała na znaczeniu. Końcem XIII wieku wybudowano w Woźnikach kościół pw. św. Walentego erygując parafię, a w połowie XV wieku, po odnowieniu praw miejskich, wybudowano nowy kościół pw. św. Katarzyny. Ten ostatni stał się też kościołem parafialnym.

Powyższy przegląd ukazujący powstawanie nowych parafii na Ziemi Lublinieckiej został przerwany, podobnie jak w całej Europie, kryzysem Kościoła katolickiego i wystąpieniem Marcina Lutera. Zagadnienie to interesuje nas tylko w tym względzie, że zahamowało ono rozwój sieci parafialnej oraz sprawiło, iż prądy reformacyjne miały spory oddźwięk wśród warstw wyższych Śląska, a następnie wśród reszty ludności. Doszło zatem do tego, że wiele kościołów górnośląskich zostało przejętych przez protestantów na kilkadziesiąt lat, a zdeklarowani katolicy byli zmuszeni spełniać swoje obowiązki w innych parafiach. Dopiero w czasach wojny trzydziestoletniej (1618 – 1648) i po jej zakończeniu poszczególne świątynie zaczęły powracać do prawowitych właścicieli lub, co też ciekawe, wybudowane przez protestantów były przekazywane katolikom. Było to wynikiem polityki cesarskiej nakazującej powrót do stanu wyznaniowego z 1552 roku. Przyjrzyjmy się zatem krótko losom znanych już parafii w tym okresie.

W Lublińcu protestanci przejęli kościół św. Mikołaja, a właściciel miasta Jan II Kochcicki, zastorczył luteranin, ufundował nową świątynię, której bryła stoi do dziś. Zmieniono także patrona kościoła na św. Michała Archanioła. Jednak po 1645 roku w wyniku usunięcia kochcickich, jako protestantów, miasto ponownie stawało się katolickie. Katolicy w tym czasie gromadzili się w ufundowanym w 1505 roku kościele pw. Świętego Krzyża (wówczas drewnianym). Świątynia ta znajdowała się poza murami ówczesnego miasta. Kolejnym kościołem w obrębie parafii lublinieckiej był wybudowany w 1653 roku kościółek pw. św. Anny będący kaplicą prywatną nowego właściciela miasta hrabiego Andrzeja Cellarego.

Parafię w Lubecku ominęły najprawdopodobniej kłopoty związane z Reformacją, a kościół parafialny pozostawał w rękach katolików. Protokoły wizytacyjne z 1687 roku wspominają, że obok świątyni lubeckiej, na terenie parafii znajdowały się jeszcze dwa kościoły filialne. Pierwszy drewniany pw. św. Jana Chrzciciela mieścił się w Łągiewnikach Wielkich, zaś drugi w Lisowie przy tamtejszej kuźni.

Kościół w Pawonkowie również przez pewien czas był w rękach innowierców. Jednak już w drugiej połowie XVII wieku cała parafia składała się z katolików oprócz kilku tamtejszych szlachciców. Na terenie siedmiu wiosek należących do parafii nie było kościołów filialnych.

W przypadku Sadowa, bardzo rozległej parafii, nie wiadomo czy kościół parafialny był protestantyzowany. Niemniej w czasach największych sukcesów Reformacji został wybudowany przez protestantów kościół w Cieszowej, który w dobie kontrreformacji przeszedł w ręce katolików i otrzymał wezwanie św. Marcina. Był tym samym filią kościoła w Sadowie. Kolejne kościoły filialne znajdowały się w Koszęcinie. Pierwszy pw. Świętej Trójcy wybudowany w 1608 roku, a poświęcony w 1647 oraz tzw. kościół vel kaplica zamkowa pw. Matki Bożej Wniebowziętej i św. Męczenników Dionizego i Witalisa również poświęcony w 1647 roku. I wreszcie czwarta filia parafii sadowskiej znajdowała się w Bruśku, gdzie znajdował się kościół pw. św. Jana Chrzciciela.

Podobne koleje dotknęły parafie leżące w diecezji krakowskiej: Lubszę i Woźniki. Końcem XVI wieku tamtejszy kościół pw. św. Jakuba Apostoła

został przekazany innowiercom i jednocześnie pozbawiony niemal całego ruchomego wyposażenia. Dlatego katolicy z Lubszy, Kamienicy, Psar i Babilienicy wypełniali swoje praktyki religijne w parafii Koziegłowej. Świątynia powróciła do katolików około połowy XVII wieku, a jej oplakany stan materialny jest wspomniany w protokole wizytacyjnym z 1665 roku. Również w Woźnikach tamtejsi parafianie byli zmuszeni uczęszczać do kościoła w Koziegłowych lub innych parafiach na terenie Królestwa Polskiego. Ich świątynia też została ogołocona ze wszystkich kosztowności i oddana protestantom. Po śmierci tamtejszego właściciela Jerzego Kochcickiego, jego żona przekazała kościół kalwińskiemu duchownemu. Podobnie jak Lubsza również Woźniki powróciły w ręce katolików ok. połowy XVII wieku.

Zakończeniem tego fragmentu dziejów kształtowania się administracji kościelnej na Ziemi Lublinieckiej jest fakt utworzenia jednej parafii w XVII wieku. Była nią parafia w Sierakowie Śląskim. Dokładna data erygowania jest trudna do określenia, lecz przyjmuje się, na podstawie ustanawiania kolejnych proboszczów, że było to ok. 1650 roku. Tym samym Sieraków, który do tego czasu należał do parafii w Lubecku, zaczął stanowić samodzielną wspólnotę, w skład której wchodziły Wędzina, Kowie, Molna, Jeżowa oraz Kuźnia Sierakowska.

Wiek XVIII jest ważny dla Ziemi Lublinieckiej z powodu dwóch zaistniałych faktów. Pierwszy, to utworzenie dekanatu lublinieckiego, który wydzielono 20 lutego 1716 roku z dekanatu oleskiego. W jego skład weszły parafie w Lublińcu, Lubecku, Pawonkowie, Sadowie i Sierakowie. Obok nich był jeszcze Dobrodzień, który obecnie nie leży w granicach powiatu lublinieckiego. Drugim istotnym faktem dla tej ziemi i całego Górnego Śląska (bez Cieszyńskiego) było włączenie tej dzielnicy do Królestwa Prus w wyniku tzw. wojen śląskich toczonych między 1741 a 1763 rokiem i zakończonych podpisaniem pokoju w Hubertusburgu 15 lutego 1763.

Utworzenie nowej jednostki kościelnej jaką był dekanat lubliniecki nie przyczyniło się w konsekwencji do szczególnego rozwoju sieci parafialnej na tym terenie. Dzięki schematyzmowi diecezji wrocławskiej z omawianego stulecia wiemy, że obok wymienionych wyżej parafii do dekanatu należała również parafia w Zębowicach i kuracja w Boronowie. I właśnie tej drugiej należy poświęcić kilka zdań. Boronów należał do parafii w Lubszy jednak między 1718 a 1720 rokiem został uniezależniony od macierzystej parafii jako kuracja. Była to zatem jednostka kościelna z własnym terytorium, kościołem i kapłanem. Zwyczajowo z czasem kuracja stawała się samodzielną parafią. W przypadku Boronowa ten proces trwał ponad wiek. Niemniej Boronów był uwzględniany we wszystkich wykazach diecezjalnych jako osobna jednostka kościelna z regularnym duszpasterstwem.

Dziewiętnaste stulecie było przełomowe dla Górnego Śląska pod wieloma względami. Przede wszystkim nastąpiła tutaj ogromna industrializacja związana z rozwojem przemysłu, napływem ludności niemieckiej oraz zmianą stosunków ludnościowych na linii miasto – wieś. W kwestiach kościelnych też nastąpiły spore zmiany. Napływała ludność niemiecka często była wyznania protestanckiego, zatem istniejące niewielkie gminy często kilkakrotnie się rozrosły. Polityka rządu pruskiego nie była przychylna katolikom, a zwłaszcza nasiliła się ona w latach siedemdziesiątych w dobie Kulturkampf, a zwłaszcza pod rządami kanclerza Otto von Bismarcka. W interesującym nas rozwoju sieci parafialnej i dekanalnej nastąpiło uporządkowanie spraw granicznych, powstały także nowe parafie i sieć dekanatów. Te ogólne stwierdzenia dotyczyły także Ziemi Lublinieckiej. Wystarczy tylko powiedzieć, że sieć parafialna powstawała tutaj bardzo wolno w porównaniu z częścią uprzemysłowaną.

Okres wojen napoleońskich zmienił na kilkanaście lat układ sił w Europie, a w przypadku terenów Polski rozbiorowej przesunął również granice między zaborcami. Kongres wiedeński z 1815 roku ustalił nowy porządek, za którym dokonano pewnych korekt granic. W tej sytuacji państwo pruskie chciało uregulować sprawy administracji kościelnej, gdyż dekanaty bytomski i pszczyński politycznie podlegały królowi Prus, a kościelnie biskupom krakowskim. Po długotrwałych negocjacjach papież Pius VII ogłosił 16 lipca 1821 roku bullę *De salute animarum* przyłączając te tereny do diecezji wrocławskiej, czyli również parafie w Woźnikach i Lubszy.

Teren obecnego powiatu lublinieckiego był w latach 1821 – 1922 podzielony pomiędzy dwa dekanaty. Wpierw do ok. 1849 roku istniał tutaj dekanat lubliniecki i bytomski. Następnie dzieląc dekanat bytomski utworzono m.in. dekanat tarnogórski. Nieco wcześniej zrewidowano jeszcze granice

c. d. na str. 20

między dekanatami, w wyniku której Lubsza przeszła do dekanatu lublińskiego (prawdopodobnie ok. 1840 roku), a parafia woźnicka pozostała w bytomskim/tarnogórskim. Rozwój sieci parafialnej oraz innych placówek duszpasterskich następował w tym czasie jedynie w części lublińskiej.

W pierwszej połowie XIX wieku w dekanacie lublińskim były parafie w Dobrodzieniu, Lubecku, Lublińcu, Lubszy, Pawonkowie, Sierakowie oraz Sadowie. Dodatkowo istniała od ponad wieku wspomniana już kuracja w Boronowie oraz dwie lokalnie: w Kochanowicach oraz w Koszęcinie. Ówczesne prawo kanoniczne plasowało lokalnie nieco niżej w stosunku do kuracji. Miała mniejszą autonomię względem kościoła parafialnego. Ten stan rzeczy zmienił się już w następnej połowie omawianego stulecia. Wpierw kościół św. Wawrzyńca w Kochanowicach został świątynią parafialną w 1853 roku, która od 1823 roku była kościołem filialnym parafii w Lubecku. Następnie ponad stuletnia kuracja w Boronowie została w 1868 roku pełnoprawną parafią. W tym samym 1868 roku podniesiono lokalnie parafię do rangi kuracji, a już w następnym roku utworzono parafię. Przy tej okazji warto jedynie wspomnieć, iż pierwotnie parafia koszęcińska miała swoją siedzibę w tzw. kościele zamkowym, jednak wzrastająca liczba parafian i inne względy duszpasterskie nakazały budowę nowej świątyni. W 1908 roku poświęcono nowy kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Na kolejne stacje duszpasterskie Ziemi Lublińska musiała czekać kilkadziesiąt lat. Chodzi o lokalnie w Olszynie i Zborowskiem. Olszyna należała do parafii w Sadowie, ale jej wierni korzystali z kościoła filialnego w Cieszowej. Data ustanowienia lokalii jest niepewna. Niektórzy wskazują na rok 1908, a oficjalne schematyzmy wrocławskie wspominają tę placówkę dopiero w 1919 roku. Podobnie rzecz ma się z podniesieniem Olszyny do rangi kuracji, która miała już nastąpić w 1918 roku. Jedno jest pewne, iż do czasu przyłączenia tych ziem do Polski i utworzenia nowej diecezji katowickiej kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Olszynie nie był świątynią w pełni samodzielnej parafii. W okresie do 1922 roku powstała jeszcze lokalna w Zborowskiem. Wieś ta należała do parafii w Lubecku, jednak między 1919 a 1921 rokiem utworzono tę jednostkę.

W tym miejscu jest konieczna ważna dygresja związana z podziałem Górnego Śląska po plebiscycie i powstaniach śląskich. Decyzją Rady Ambasadorów z 20 października 1921 roku ówczesny powiat lubliński został podzielony między Polskę i Niemcy. Decyzje polityczne miały tym samym wpływ na sprawy kościelne. W pierwszym rzędzie podzielono istniejące dekanaty i parafie między dwa państwa co w wielu wypadkach utrudniało wiernym praktyki religijne. Po drugie sytuacja wymagała uregulowania na najwyższym szczeblu, gdyż dotyczyła jurysdykcji nad tymi terenami. Ówczesny biskup wrocławski kard. Adolf Bertram miał nadzieję, iż będzie możliwe utrzymanie granic diecezji, a na terenach przydzielonych Polsce władzę w jego imieniu będzie sprawować wyznaczony delegat. Tak się jednak nie stało, gdyż zarówno władze województwa śląskiego jak i większość duchowieństwa górnośląskiego oraz Episkopat Polski chcieli uniezależnienia tych ziem od Wrocławia. Ostatecznie 7 listopada 1922 roku papież Pius XI utworzył dekretem *Sanctissimus Dominus noster* Administrację Apostolską dla Śląska Górnego na czele z ks. Augustem Hlondem. Pomimo wyłączenia polskiego obszaru plebiscytowego spod władzy biskupa wrocławskiego tutejsze parafie nadal były ujmowane w schematyzmach wrocławskich z zaznaczeniem jednak, iż mowa o parafiach i dekanatach „polskiego Górnego Śląska”.

Powyższe problemy dotknęły również Ziemi Lublińskiej. Dekanat został okrojony, a poza jego granicami znalazła się parafia w Dobrodzieniu, którą włączono do dekanatu opolskiego, zaś parafię w Sierakowie i lokalnie w Zborowskiem włączono do dekanatu oleskiego. Dodatkowo najdotkliwiej podział tych ziem odczuli wierni należący do parafii w Pawonkowie, której zachodnia część została po stronie niemieckiej, a kościół parafialny przydzielono Polsce.

Ostateczne uregulowanie przynależności diecezjalnej tych ziem nastąpiło 28 października 1925 roku dzięki bulli Piusa XI *Vixdum Poloniae unitas* ustanawiającej nowy podział diecezjalny odrodzonej w 1918 roku Polski. Ziemia Lublińska weszła w skład nowo utworzonej diecezji katowickiej, na czele której stanął dotychczasowy administrator bp August Hlond.

Czas do wybuchu II wojny światowej zaowocował kilkoma zmianami na mapie administracji kościelnej Ziemi Lublińskiej. W części przydzielonej Polsce powstała jedna parafia. Mianowicie kuracja w Olszynie została podniesiona do rangi samodzielnej placówki duszpasterskiej w 1926 roku. Tym samym rozległa parafia w Sadowie została pomniejszona m.in. o miej-

scowości Olszyna, Kalina i Herby Śląskie. Ale obok nowej parafii cywilnej została erygowana w Lublińcu parafia wojskowa św. Michała Archanioła. Nie wchodząc w szczegóły kapelan 74 pp w Lublińcu, ks. Jan Szymała, organizował duszpasterstwo dla żołnierzy i ich rodzin już od momentu przybycia pułku do Lublińca. Współpracując ściśle z tutejszym proboszczem, ks. Józefem Dwucetem, zdołał zapewnić lublińskiemu garnizonowi właściwą opiekę duszpasterską. Ale dopiero po podpisaniu konkordatu w lutym 1925 roku oraz wspomnianej bulli reorganizującej administrację kościelną w Polsce, utworzono 1 maja 1926 roku parafię wojskową, której kościołem garnizonowym został kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Lublińcu. Parafia istniała do wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku.

Na terenach przydzielonych Niemcom również zaszły pewne zmiany. Przede wszystkim kard. Bertram utworzył nowy dekanat dobrodzieński w 1927 roku złożony m.in. z ziem, które przed 1922 rokiem należały do Lublińca, a w wyniku decyzji politycznych przydzielonych do dekanatu opolskiego. Szybko też, bo jeszcze w 1927 lub 1928 roku, utworzono kurację w Łagiewnikach Małych, które w 1922 roku zostały wyłączone granicą polityczną z parafii w Pawonkowie. Niestety, autor nie znalazł informacji o erygowaniu pełnej parafii, a za tym daty. Niemniej Łagiewniki Małe są uznawane jako pełnoprawna parafia. Ostatnia zmiana to podniesienie lokalii w Zborowskiem do rangi kuracji w 1926 roku.

Dotychczasowy opis rozwoju sieci parafialnej, dekanalnej i diecezjalnej ziem wchodzących w skład obecnego powiatu lublińskiego dotyczył niemal tysiąca lat. Ale paradoksalnie, największą dynamiką w powoływaniu nowych placówek duszpasterskich można obserwować od 1939 roku. Autor celowo przesuwa tę granicę do początku II wojny światowej, aby ukazać ten paradoks w zderzeniu z dwoma wielkimi, bezbożnymi totalitaryzmami: hitlerowskim i komunistycznym. Jest to niewątpliwie sukces Kościoła, który, w często dramatycznych okolicznościach, potrafił tworzyć nowe wspólnoty ułatwiając wiernym dostęp do własnych parafii i prowadzonego w nich duszpasterstwa.

Okres II wojny światowej nie sprzyjał powstawaniu nowych parafii. Władze niemieckie utrudniały na wszelkie sposoby działalność duszpasterską Kościołowi. Jednak w tym czasie powstała na interesującym nas obszarze nowa placówka w Lublińcu. Mowa o obecnej parafii św. Stanisława Kostki, którą od początku prowadzą Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej. Do 1939 roku oblaci nie prowadzili własnego duszpasterstwa w Lublińcu, ale zajmowali się prowadzeniem Małego Seminarium Duchownego i formacją nowych powołań obłackich. Początek wojny przerwał te działania, a Zgromadzenie stanęło przed dylematem utrzymania dotychczasowej własnej fundacji. Posunięto się do swego rodzaju fortelu. Zarząd nad klasztorem przejęli oblaci z prowincji niemieckiej. Przybyło tutaj dwóch ojców, Niemców, którym udało się utrzymać klasztor do 1945 roku. Jeszcze w 1939 roku usamodzielniono kościół pw. św. Stanisława Kostki, by w 21 listopada 1941 roku ustanowić tutaj kurację parafii lublińskiej. Przez kolejnych kilkadziesiąt lat nie wydano oficjalnego dokumentu podnoszącego tę wspólnotę do rangi parafii, ale w 1985 roku ordynariusz katowicki bp Herbert Bednorz potwierdził istnienie osobnej jednostki zatwierdzając istnienie samodzielnej parafii.

Rzeczywistość powojenna przyniosła nowe problemy i wyzwania przed Kościołem w Polsce. Z jednej strony należało uregulować sytuację na tzw. ziemiach odzyskanych, czyli terenach Śląska Opolskiego, Dolnego, Ziemi Lubuskiej i Pomorza, a z drugiej wejść w konfrontację z wrogiem religii i Kościołowi systemowi komunistycznemu. Tereny należące przed wojną do Polski posiadały polską sieć diecezjalną, która mogli ponownie zarządzać biskupi. Tak też się stało w przypadku diecezji katowickiej. W przypadku zaś terenów przyłączonych do Polski po 1945 roku sytuacja musiała poczekać na swoje uregulowanie niemal trzydzieści lat. Obszar Opolszczyzny, który dotąd należał do archidiecezji wrocławskiej, wydzielono z tegoż obszaru i ustanowiono 15 sierpnia 1945 roku Administrację Apostolską Śląska Opolskiego. Dopiero po podpisaniu traktatu polsko – niemieckiego z grudnia 1970 roku utworzono się możliwości uregulowaniu tutaj pełnych stosunków diecezjalnych. Na mocy bulli papieża Pawła VI *Episcoporum Poloniae coetus* z 28 czerwca 1972 roku powołano diecezję opolską i włączono ją do Metropolii Wrocławskiej. Ten stan rzeczy trwał do 1992 roku, kiedy to 25 marca papież Jan Paweł II wydał bullę *Totus Tuus Poloniae Populus* reorganizując całą strukturę diecezjalną w Polsce. Powstała wówczas nowa diecezja gliwicka, której obszar wydzielono z diecezji katowickiej i opolskiej. Dokonano poza tym swego rodzaju zjednoczenia ziem górnośląskich, mających wspólną historię i tradycję kościelną, tworząc nową Metropolię Górnośląską w skład

której wchodzi archidiecezja katowicka oraz diecezje opolska i gliwicka. Powiat lubliński pod względem kościelnym znajduje się zarówno w diecezji gliwickiej jak i opolskiej.

Jak zatem wyglądał rozwój sieci parafialnej po 1945 roku?

W przypadku parafii w Zborowskiem istnieje problem faktograficzny. Autor nie znalazł nigdzie daty erygowania parafii, a dostępne przekazy mówią o 1926 roku. Jednak według oficjalnych schematyzmów diecezji wrocławskiej do 1942 roku wspólnota ta była traktowana jako kuracja. Należy zatem przyjąć, że podniesienie Zborowskiego do rangi parafii nastąpiło dość wcześnie, może jeszcze w czasach wrocławskich.

Z pewnością już po wojnie została erygowana parafia w Strzebinu. Jej mieszkańcy wcześniej spełniali swe obowiązki w parafiach w Koszęcinie lub w Lubszy. Wpierw w 1947 roku powołano kurację, a w dziesięć lat później, 1957 rok, utworzono samodzielną parafię z kościołem pw. Świętego Krzyża. Podobnie wyglądało powołanie parafii w Kochcicach, która to miejscowość do połowy XIX wieku należała parafii w Lubecku, a następnie w Kochanowicach. Po zaadaptowaniu budynku stajni na kościół, a następnie utworzeniu filii parafii kochanowickiej erygowano 10 kwietnia 1969 roku samodzielną parafię Najświętszego Serca Pana Jezusa. Niemal czterdzieści lat wcześniej powstała idea budowy kościoła w Herbach. Świątynia pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa została poświęcona w 1942 roku, ale wyodrębnianie się Herb z parafii w Olszynie rozpoczęło się ok. 1961 roku, a 1 lutego 1976 została tutaj utworzona samodzielną wspólnotą parafialną.

W 1977 roku erygowano na Ziemi Lublińskiej kolejne dwie parafie. W kolejności pierwszą z nich była parafia przy kościele pw. Trójcy Świętej w Koszęcinie. Kościół od końca dziewiętnastego wieku leżał na terenie parafii koszęcińskiej, lecz nie stał się świątynią parafialną. Dopiero w maju 1966 roku ustanowiono osobnego rektora tego zabytkowego kościoła, a 10 grudnia 1977 biskup katowicki erygował parafię, drugą na terenie Koszęcina. W kilka dni później, 18 grudnia, podniesiono do rangi parafii wspólnotę z kościołem św. Jana Chrzciciela w Łagiewnikach Wielkich, która do tej pory była częścią parafii w Lubecku.

Prawdziwie bogaty w powstawanie nowych parafii, w porównaniu z całym interesującym nas okresem dziejowym, był rok 1980. Powołano do życia aż sześć samodzielnych placówek. W części „katowickiej” były to Kokotek, Babienia i Cieszowa. W diecezji opolskiej: Ciasna i Wędzina. Próby usamodzielnienia wspólnoty w Kokotku były już w czasie II wojny światowej. Jednak od 1960 roku datować można ustanawianie kolejnych duszpasterzy, będących *de facto* każdorazowo wikariuszami przy parafii św. Mikołaja w Lublińcu. Ostatecznie po kilkunastoletnich staraniach związanych z budową kościoła powołano 16 maja 1980 parafię Najświętszej Maryi Panny Królowej w Kokotku wydzielając ją tym samym z parafii lublińskiej. W tym samym dniu, 16 maja 1980 roku, biskup katowicki erygował parafię św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Babienicy wydzielając ją z parafii w Lubszy. Jednak samodzielne duszpasterstwo datuje się tutaj od ok. 1960 roku, gdy rozpoczęła jej emerytowany proboszcz z Lubszy ks. Michał Brzoza. Następnie w 1974 roku utworzono filię, a w sześć lat później samodzielną parafię. Także filia w Cieszowej należąca już od czasów kontrreformacji do parafii w Sadowie została usamodzielniona. Odpowiedni dokument biskupa katowickiego powołujący nową parafię św. Marcina Biskupa i Wyznawcy nosi datę 5 maja 1980 roku. W tym samym 1980 roku wydzielono z parafii św. Mikołaja w Lublińcu parafię w Jawornicy. Plan jej wydzielenia rozpoczęto od budowy kościoła, który budowano w latach 1978 – 1980. W trakcie jego budowy, w końcowej już fazie prac, tragiczna śmiercią zginął lubliński proboszcz i budowniczy jawornickiego kościoła ks. Paweł Miś. Parafia św. Stanisława Biskupa i Męczennika została erygowana 25 czerwca 1980 roku.

O parafii Świętej Trójcy w Ciasnej można już mówić w 1964 roku, Jednak dopiero w 1980 ówczesne władze komunistyczne zezwoliły na oficjalne erygowanie samodzielnej placówki duszpasterskiej. Parafia została wydzielona z części parafii w Zborowskiem i Sierakowie. W Jeżowej, która należy do tej placówki znajduje się kościół pw. św. Jadwigi Śląskiej, obsługiwany przez ustanowionego duszpasterza. Parafia św. Urbana w Wędzinie również została ustanowiona w 1980 roku, wyodrębniając się z parafii sierakowskiej. Jej powstanie, podobnie jak wielu innych, było poprzedzone w pierw wybudowaniem kościoła, a następnie staraniami o własnego duszpasterza.

Katolicy w Lisowie, zanim otrzymali własną parafię, należeli do parafii w Lubecku, a po ustanowieniu placówki w Kochanowicach zostali przydzieleni do niej. Do 1889 roku na terenie wsi znajdowała się nawet kaplica, która

jednak została rozebrana. Dopiero początkiem lat osiemdziesiątych XX wieku powstała tymczasowa kaplica, przy której 21 lutego 1982 roku erygowano parafię. Rok później rozpoczęto budowę kościoła parafialnego pw. Matki Bożej Matki Kościoła.

Do rozległej parafii w Sadowie należały niegdyś Rusinowice. Starania o własny kościół ich mieszkańcy przedsięwzięli już w międzywojniu. Jednak dopiero odpowiednia zgoda nadeszła w 1982 roku, a 2 stycznia 1985 roku powołano parafię z kościołem pw. Znalezienia Krzyża Świętego i św. Katarzyny.

Ostatnią erygowaną parafią diecezji opolskiej znajdującą się na terenie obecnego powiatu lublińskiego jest placówka w Gwoździanach z zabytkowym, drewnianym kościołem z 1576 roku pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Samodzielna placówka duszpasterska, wydzielona z parafii św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu, powstała w 1986 roku.

Rok przełomu ustrojowego w Polsce zaowocował powołaniem w dekanacie lublińskim dwóch parafii. Najpierw 1 stycznia 1989 roku ustanowiono parafię św. Jana Nepomucena, która do tego czasu stanowiła część parafii w Lubecku. Pierwotnie wspólnota posiadała jedynie rozbudowaną wcześniej kaplicę, ale już w październiku tego samego roku rozpoczęto budowę nowej świątyni zakończona w 1994 roku. Drugą z placówek była parafia w Stebłowie, dzielnicy Lublińca. Starania tamtejszych mieszkańców o własny kościół znane są już z lat trzydziestych XX wieku. Jednak dopiero w połowie lat osiemdziesiątych zaczęto odprawiać w Stebłowie regularne nabożeństwa. Pierwotnie zamierzano przenieść do tej dzielnicy kościół pw. św. Anny, jednak zrezygnowano z tego zamiaru i rozpoczęto budowę nowej świątyni. Sam kościół, a za tym nowa parafia, były pierwszymi w świecie pw. św. Edyty Stein. Samą parafię erygowano odpowiednim 1 września 1989 roku.

W latach dziewięćdziesiątych minionego wieku sieć placówek duszpasterskich powiększyła się o kilka nowych. 21 października 1990 uregulowano sprawę filii parafii św. Mikołaja w Lublińcu przy kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Po kilkusetlatkach istnienia, bycia tzw. kościołem szpitalnym, następnie służąc 74 Gpp oraz filią ustanowiono samodzielną placówkę duszpasterską. Następnie w 1992 roku ustanowiono filię w Glinicy, należącej do parafii w Lubecku, a tamtejsza kaplica pw. św. Józefa Robotnika stała się miejscem sprawowania liturgii dla tamtejszych mieszkańców. Podobnie w listopadzie 1992 roku utworzono filię parafii św. Stanisława Kostki w Lublińcu przy nowo konsekrowanym kościele św. Kazimierza w Solarni. W dekanacie woźnickim dokonano kolejnego podziału parafii w Lubszy. Jeszcze 2 lutego 1992 roku, ówczesny ordynariusz katowicki bp Damian Zimoń, ustanowił tymczasową parafię w Kamińskich Młynach. Fakt ten potwierdził, erygując, stała placówkę parafialną, bp Jan Wierczok 1 stycznia 1994 roku. Duszpasterstwo skupia się wokół kościoła pw. Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa. Około 1993 roku ustanowiono filię w Pawełkach należących do parafii w Kochcicach. Nowa placówka skupia się wokół niezwykle pięknego drewnianego kościoła pw. Matki Bożej Fatimskiej.

Po latach komunistycznej indoktrynacji i wypierania Boga oraz Kościoła, z przestrzeni publicznej utworzono ponownie na początku lat dziewięćdziesiątych duszpasterstwo wojskowe z pełną strukturą diecezji polowej. Z uwagi na istnienie w Lublińcu garnizonu wojskowego, który skupia zarówno żołnierzy, pracowników cywilnych oraz ich rodziny i byłych wojskowych, erygowano 2 grudnia 1995 roku samodzielną parafię personalną bł. Piotra Jerzego Frassatego. Placówka ta podlega jurysdykcji ordynariusza polowego, Wojska Polskiego.

Podsumowując obecny stan administracji Kościoła katolickiego w granicach powiatu lublińskiego (sierpień 2013) należy stwierdzić, że obszar ten leży w granicach diecezji gliwickiej i opolskiej. Dodatkowo, dzięki parafii wojskowej, część wiernych należy do diecezji polowej. Z diecezji gliwickiej znajduje się tutaj dekanaty lubliński, sadowski i woźnicki, zaś z diecezji opolskiej dekanat dobrodzieński i oleski. Pełnoprawnych parafii jest następująca ilość: dekanat lubliński – 12; dekanat sadowski – 8; dekanat woźnicki – 8; dekanat oleski – 4; dekanat dobrodzieński – 2. Oczywiście wszystkie wymienione dekanaty, oprócz lublińskiego, wychodzą swoim terytorium poza granice powiatu lublińskiego.

Kończąc pragnę zaznaczyć, że dotknięty temat to jedynie wierzchołek góry lodowej. Rzeczywistość historyczna i prawna ustanawiania kolejnych parafii, wyznaczania granic dekanatów i diecezji jest znacznie bogatsza. Przede wszystkim zawsze za tym stoją konkretni ludzie zaangażowani w życie swojej społeczności. Dlatego też każda z powyższych parafii i ich kościoły zasługują z pewnością na solidną monografię lub rzetelny, wyczerpujący artykuł.

Jestem ładna

~ OPOWIĄSTKI Z ŻYCIA EWY ~

Ewunia ukloniła się z wdziękiem, uśmiechnęła czarująco i spod długich rzęs spoglądała na publiczność. Gdy brawa cichły, ukloniła się ponownie i tanecznym krokiem zeszła ze sceny.

– Toż to jest urodzona artystka! I jaka ładna dziewczynka!

– Ma ciocia całkowitą rację – odpowiedział dumny tata.

– I niezła manipulanka – dorzuciła mama, nawiązując do wymuszonych braw widzów.

– Kochanie, to się nazywa „umiejętność nawiązania kontaktu z publicznością”. W życiu jest to bardzo potrzebne, słiczna buzia nie wystarczy, artystka jeszcze musi się odpowiednio zaprezentować.

– Mój drogi – wtrąciła leciwa ciocia – na wejście wystarczy, prawdą jest, że ładnym zawsze łatwiej, przynajmniej na początku, ale jeśli ma wzbudzać zainteresowanie otoczenia, to należy zadbać o staranną edukację. Dla zaspokojenia mej ciekawości muszę się wam przyjrzeć.

– Do kogo Ewunia jest podobna, po którym z was odziedziczyła urodę?

– Jak to po kim? Po mnie, przecież Ewunia jest tak ładna jak ja przystojny!

Mama wiedziała, że córka jest świadoma swego uroku, bo zawsze miała to, co chciała i jak chciała. Nie tupiała, nie krzyczała, a ten kto jej ustępował i pomagał, nawet był zadowolony. Ustępującemu zawsze patrzyła w oczy i obdarzała uśmiechem. Nigdy nie była sama, zawsze w licznej grupie rówieśników

znajdowała się w centrum uwagi. Jak ona to robi? – zastanawiała się i postanowiła ją bacznie obserwować. Zwróciła uwagę, że chętnie chodzi na zakupy do osiedlowego sklepu, więc zaciekawiona poszła za nią w bezpiecznej odległości. Gdy podeszła pod drzwi, usłyszała swoją córeczkę:

– Dzień dobry pani Krysiu, jak się pani szefowa dzisiaj czuje? Pani Basiu, czy ten fajny chłopak to od pani? Ewa wyszła ze sklepu z zakupami i dodatkową torebką cukierków. Zawołała kolegę i wręczając mu torebkę, zaznaczyła:

– Tylko nie otwierajcie sami, poczekajcie na mnie, musi być sprawiedliwie!

Latem, gdy wracała z pracy, zauważyła dzieciaki siedzące na trawniku, a obok leżące, pootwierane tornistry i rozrzucone bloki rysunkowe – co one tam rysują? A one wpatrywały się w Ewę i uważnie słuchały opowieści o indiańskich plemionach, po czym zabrały się za projektowanie tipi, by samodzielnie zbudować je przed blokiem. I zbudowały. Wprawdzie sąsiadka długo szukała koca w oryginalne wzory, a mama swej sukienki z frędzlami, ale dzieci były zajęte zabawą przez długi czas. Samotnego pana z pierwszego piętra początkowo denerwowały okrzyki wojenne „lu-lu-lu!”, więc pewnego dnia Ewa z czarującym uśmiechem zaprosiła go do tipi i poczęstowała pizzą „a la pałacy bawól”. Od tego czasu

pan na wspomnienie indiańskich potraw dostawał dreszczy, ale z miną znawcy zwyczajów indiańskich kiwał głową w rytm tamtamów.

Ewa stała przed lustrem i przymierzała mundurek harcerski. Patrzyła krytycznym okiem – ładnie? nieładnie? – co sądzisz tato?

– Pięknie – odpowiedział i dodał – jesteś najładniejszą harcerką na świecie.

– A na obóz pojedę?

– Pojedziesz.

I tak rozpoczęła się harcerska przygoda, ważny i miły epizod w jej życiu. Obóz harcerski powracał w snach – szum drzew, krople deszczu uderzające o namiot, nocne warty, walka o proporczyk z przeciwną drużyną.

Zapragnęła śpiewać. Marzyła jej się ogromna scena z mnóstwem kolorowych świateł, kamerami i wiwatującą publicznością. Zaczęła uczęszczać na zajęcia chóru szkolnego, ale cóż z tego, że mówiono – ta ładna ma donośny głos-kiedy nadal tkwiła w grupie. Szybko zorientowała się, że w tym zespole kariery solowej nie zrobi. Przy poważnej pieśni nikt koszulą nad głową nie będzie kręcił. Trzeba szukać innej drogi i wziąć sprawę kariery w swoje ręce. Znalazła w lokalnej gazecie ogłoszenie o zapisach do konkursu piosenki. Nie ważne, że tylko w lokalnej, ważne, że solo i na scenie!

Zakwalifikowała się do koncertu „Wieczory w moim mieście” i wystąpiła na scenie. Laureatka miała zapewnione nagranie. Pracowała w pocie czoła, doprowadziła do perfekcji swój śpiew i ruch sceniczny. Publiczność szalała z zachwytu. Jurorzy nie mieli wątpliwości, komu przyznać pierwszą nagrodę. Oficjalny werdykt miał być ogłoszony za tydzień na następnym koncercie. Jurorzy przekazali do studia nagrania kasety z roboczym nagraniem z koncertu ze wskazaniem laureatki. Następnego dnia zapytano ich, czy nie nastąpiła pomyłka, gdyż osoba, którą wytypowali na drugie miejsce, jest znacznie lepsza od zwyciężczyni. Jurorzy zjawili się w studiu, wysłuchali nagrań i przyznali kolidującą rację. To co robimy, zmieniamy decyzję?

– Na czyj koncert chętniej przyjdzie publiczność? Na Ewki, oczywiście. Pierwsze miejsce damy równorzędne, a nagrodę podzielimy: Jola dostanie nagranie, a Ewka udział we wszystkich koncertach w tym sezonie.

– Uważasz, że to jest słuszne?
– Jasne! Jola śpiewa pięknie i ładnie wygląda, Ewka śpiewa ładnie i pięknie wygląda, przecież sami ulegliśmy jej wdziękowi! A wystarczyło zamknąć oczy, żeby wiedzieć, która głosowo jest lepsza, ale myśmy woleli się na nią gapić... bo jest ładna!

Życie rodzinne nabrało barw. Tata zajął się organizacją. Odwoził i przywoził Ewę z koncertów, pełnił rolę osobistego ochroniarza, nawet żartobliwie padało określenie „córeczka tatusia”. Z mamą i koleżankami

chodziła do sklepów i wybierały kreacje koncertowe – koleżanki doradzały wybór, a mama płaciła.

Skończyły się letnie koncerty, rozpoczął nowy rok szkolny i wszystko wróciło do normy, tak się przynajmniej początkowo rodzicom wydawało. Niby wszystko pozostało jak dawniej, ale intuicja rodzicielska wzbudzała ich niepokój. Dostrzegli zmiany w zachowaniu Ewy, zbyt często wychodziła z domu, wymieniła starych przyjaciół na nowe koleżeństwo z innego osiedla. Bezceremonialnie zażądała zwiększenia kieszonkowego, a gdy zobaczyła zdumienie malujące się na twarzach rodziców, dorzuciła agresywnie:

– Należy mi się podwyżka, jestem już o rok starsza, mam swoje potrzeby, przecież nie pójde kraść!

Tata postanowił ukrócić swobodę córki i przejąć nad nią dyskretną kontrolę, mawiał – jak mam z czymś lub z kimś się zmagać, muszę rozpoznać problem. A córka próbowała usypiać jego czujność przymilnymi uśmiechami, słodkimi komplementami, ale nie dał się zwieść jej zapewnieniom, że wszystko jest w porządku. Wiedział, że jest to próba sił, sondowanie na ile sobie może pozwolić i wiedział, że na tym etapie sama już sobie nie poradzi, że spiętrzyły się i przerosły ją problemy, więc musi jej pomóc. Nie może się czuć urażony oschłością córki, jej milczeniem i tajemnicami. Ostatnio nasiliły się ostrzeżenia dla rodziców przed zażywaniem przez młodzież narkotyków i alkoholu, kradzieżami i bójkami. Najbardziej niepokoiło go nowe towarzystwo córki.

Mama postanowiła przygotować na kolację pizzę. Będzie miło w sobotni wieczór, gdy wspólnie usiądą do stołu. Wyjęła produkty, otworzyła lodówkę i ciężko westchnęła:

– Oj, nie mam ani pomidorów, ani papryki, a byłam przekonana, że jeszcze są.

– Idę po gazety, to mogę i do warzywniaka wstąpić, nie musisz się spieszyć z kolacją, bo Ewa powiedziała, że przyjdzie nieco później.

Tata maszerował rażno, zakupy zawsze sprawiała mu przyjemność, do listy dodał owoce, słodycze i lody – ucieszą się moje panie, z deserem będzie świątecznie – pomyślał uśmiechając się. W drodze powrotnej przez szybę okna wystawowego zobaczył Ewę. Co ona tam robi, sklepy ze sprzętem audiowizualnym ją interesują? Wszedł cicho. Ewka o czymś z przejęciem opowiadała sprzedawcy, a on zamiast pilnować sprzętu i służyć klientom radą, gapił się w dziewczynę jak w obrazek, świata poza nią nie widząc. A klienci, blokowi kolesie, z kieszeniami wypchanymi bateriami i drobnymi gadżetami wyczekująco patrzyli na tatę koleżanki. W ułamku sekundy wyrzucili skradziony towar i na okrzyk „chodu” wybiegli ze sklepu.

Przerażony sprzedawca ruszył w głąb sklepu sprawdzić czy coś zginęło. Ewa zamarła, gdy spostrzegła tatę.

– Na obozach harcerskich stałaś na warcie, by zapewnić harcerkom i harcerzom bezpieczeństwo i co, nie widzisz różnicy? Stoisz na czatach, by koledzy mogli spokojnie kraść? Tyle pojął ze szlachetnej idei skautingu? Co w tobie zostało z „córeczki tatusia”? Tata mówił cicho, wydawało się nawet, że bez emocji, ale Ewa wiedziała, że żal ściska mu serce, a w oczach zobaczyła wielki, wielki smutek. Razem wrócili do domu. Mama już po ich twarzach poznała, że coś złego się wydarzyło. W milczeniu zasiedli do kolacji. Mama zwróciła się do taty i zapytała:

– Czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

– Tak. Ewa jest ładną i mądrą dziewczyną. Doskonale wie, co jest dobre a co złe. Dzisiaj wybrała zło. Jest mi bardzo ciężko na sercu.

Pani to ma się dobrze – mówiła sąsiadka- z małej dziewczynki wyrosła mądra i ładna panna. Wiem, że zazwyczaj uroda nie idzie w parze z mądrością, a tu proszę, taki wybrzyk natury, aż się miło patrzy. Jaka grzeczna, aż miło z nią rozmawiać, tak jak to było z tą dyskoteką, aż miło, że nie chciała rodziców męczyć hałasem, zrobiła imprezę wtedy, gdy wyjechaliście, taka roztropna i rezolutna, aż miło, mówię pani.

– Jaka dyskoteka? W naszym mieszkaniu córka urządziła dyskotekę i nikt nie przyszedł do nas na skargę? Niebywałe!

– Fakt, niebywałe, ale to nietypowa impreza. Najpierw dzieciaki znośli produkty, potem piekły, potem chodzący do każdego mieszkania i częstowały pierniczkami, a potem się wesoło bawiły, a wieczorem przychodzili rodzice i zabierali je do domu.

– Co to były za dzieci?

Sąsiadka spojrzała podejrzliwie – pani sobie ze mnie żartuje?- zapy-

tała niepewnie, ale chęć podtrzymania rozmowy była większa niż lekko urażona ambicja.

– Przecież wszyscy na całym osiedlu wiedzą, że Ewa jest harcerką, ale taką z prawdziwego zdarzenia, mówiła komuś w tajemnicy, ale to zostanie w tajemnicy między nami, prawda?, że ma jakiś dług do spłacenia, myślę, że honorowy, bo, sprawdziłam, pieniędzy od nikogo nie pożyczła! Już, już kończę – ona prowadzi dużą drużynę zuchową i to te dzieci miały imprezę, te zuchy. Nie pochwaliła się?

Ewa siedziała nad książką i nie potrafiła skupić uwagi, przerzucała kartkę po kartce i nic nie rozumiała z czytanego tekstu. Muszę się wziąć w garść – albo czytanie, albo dumanie. Wybrała dumanie. Należała do zgranej grupy, ale od pewnego czasu dziewczyny się od niej delikatnie zaczęły odsuwać, chłopcy nie, zawsze ją adorowali i byli dumni, że taka ładna dziewczyna jest w ich kręgu. A ona chciała mieć koleżankę, żeby móc porozmawiać o modzie, makijażu, fryzurach... Ciekawe dlaczego się tak odsuwają? Jedyne Ola zaczęła nieśmiało i niepewnie nawiązywać z nią bliższe kontakty. Na odpowiedź nie musiała długo czekać. W szkole, w czasie przerwy przypadkowo usłyszała rozmowę koleżanek:

– Olka, ty się tak nie pokazuj z Ewą, bo ona jest taka ładna, że widać twoją brzydotę, chociaż nie jesteś brzydka, ale jak chłopcy zaczną cię punktować, to wszystkie piegi ci policzą.

– A wiesz – dodała druga – oni są bardzo skupieni na ocenie figury, Ewa ma idealną, a ty w biodrach jesteś za szeroka.

– Jeżeli wam nie wystarczy to, że Ewa jest mądra, koleżeńska i uczynna, to znaczy, że jej zazdrościcie urody – odpaliła Ola.

– Mądra, koleżeńska i jeszcze uczynna – zaperzyła się Kasia.

– A nie? Kto wita wszystkich gości w naszej szkole? – Wita, bo jest ładna, a to jeszcze nie jest miernikiem mądrości!

– Wita po polsku, po angielsku i po niemiecku, w zależności skąd goście przyjechali. Oprowdza po budynku i opowiada historię szkoły. Ty w języku polskim nie potrafiłabyś tego dokonać. A koleżeńska? też jest, przecież godzinami tłumaczyła ci zadania z matematyki i chemii.

Ewa zauważyła na twarzy Oli chytry uśmiešek – oho, coś uszykuje!

– Jeżeli macie wątpliwości, powiem wam, jaki można mieć interes w tych spotkaniach. Wokół Ewy kręci się wielu chłopców, tak? Jej na nich jeszcze nie zależy, a ilu ona ostatecznie wybierze? Jednego, tego jedyne! A co robi z resztą? Odda koleżankom! I wy tam będziecie! Ola odchodząc wymamrotała pod nosem:

– Nie dość, że głupie, to jeszcze zawistne!

Ewa postanowiła zasłyszana rozmowę powtórzyć mamie i wspólnie zastanowić się, jak ułożyć relacje z rówieśnikami. Mama wysłuchała, uśmiechnęła się, pokiwała głową i rozmowę rozpoczęła retorycznym pytaniem: Skąd ja to znam? To problem ładnych dziewcząt. Masz koleżanki i kolegów, którzy prędzej czy później zaczną się łączyć w pary. Dla dziewcząt ty będziesz zawsze zagrożeniem, bo z nią będzie sympatyzował, a na ciebie zerkał, co nie umknie jej uwagi, gdyż zachowa wielką czujność. Dla chłopców będziesz bardzo atrakcyjna, ale nierealna, więc wybiorą mniej ładną, ale pewną, że nie będą się zmagali z konkurentkami. Moja rada? Nie lekceważ, nie odtrącaj tego, który ci się spodoba. Nie możesz przegapić szczęścia, bo nawet się nie obejrzyysz, jak zostaniesz sama. Słowa mamy rozważyła i gdy dostała tajemniczy liścik z pytaniem „Zgadnij, czyje to serce?” z rysunkiem przebitego strzałą serca, nie wyrzuciła do kosza, tylko postanowiła znaleźć nadawcę. Liściki, zawsze z tej samej papeterii, znajdowała co drugi dzień w nietypowych miejscach – w plecaku, zeszytach, kieszeni, zmiennym obuwiu. W piórniku był ostatni, z dopisem „Do zobaczenia”.

Nastał maj, przyroda zbudziła się do życia. Ptaszki ćwierkały, łączyły się w pary. Ludzie też. Ewa szła na spotkanie swej grupy, tym razem umówili się na świeżym powietrzu, w parku. Humory wszystkim dopisywały. Zrobiło się późno i ciemno. Po chwili zza chmur wyłonił się księżyc wielki i jasny jak pieniążek. Zapachniało świeżym igliwem i w nastrojowej ciszy pary odchodziły w zaciemnione miejsca. Ewa z zachwytem wpatrywała się w księżyc, gdy zawiął chłodny wietrzyk, oprzytomniała i wróciła do rzeczywistości. Rozglądnęła się, była sama. Nie mogła uwierzyć – jak to się stało? Wszyscy się rozeszli? Hej, jest tu kto?

– Jest, jest i cierpliwie czeka, bo taka mądra i ładna dziewczyna nie może być sama. Podszedł do niej, wręczył znajomą kopertę, otulił ją swoim swetrem i pocałował w zmarznięty nos.

~ Andrzej Musioł ~

Franciszek Grotowski i jego fundacja

~ Z DZIEJÓW LUBLIŃCA ~

Dnia 23.04.2013 decyzją Rady Miejskiej zrewitalizowany teren nad Lublinicą pomiędzy ul. Jana III Sobieskiego a ul. Grunwaldzką nadano nazwę Bulwar im. Franciszka Grotowskiego. Jest to okazja do przypomnienia postaci Franciszka Grotowskiego i jego dzieła.

Jan Fikus senior w książce pt. „Zakład Wychowawczy im. Franciszka Grotowskiego w Lublińcu – fundator i jego dzieło”, Lubliniec 2002 pisze, że ród Grotowskich wywodził się ze starej polskiej szlachty osiadłej na Śląsku. Rodzina o tym nazwisku posługiwała się herbem RAWA i herbem ŁODZIA.

Franciszek Grotowski urodził się w Olszynie w pow. lublińskim dnia 8.10.1733 r. Jego rodzicami byli Leopold Gustaw i Józefa Jadwiga rodzona von Wippler z Uszyc. Chrzest Franciszka zanotowano w księdze chrztów parafii Sadów pod datą 11.10.1733 r. W 1765 roku ożenił się z Renatą hrabiną de Arco z którą miał jedną córkę (młodo umiera). Po śmierci pierwszej żony ożenił się ponownie 27.11.1792 r. z Marią Anną von Blacha. Franz von Grotowski, bo tak podpisywał się wówczas, był pruskim radcą sprawiedliwości i komisarzem marszowym – urzędnikiem królewskim sprawującym obok starosty władzę nad powiatem.

Po śmierci ojca w 1765 r. odziedziczył majątek Olszyna, Kalina i przysiółek Kieszki. Po śmierci żony Renaty sprzedał swą własność ok. 1780 roku hrabiemu Karolowi Henrykowi Sobek – właścicielowi dóbr koszęcińskich.

Za otrzymane środki pieniężne zakupił miasto Lubliniec i szereg okolicznych wiosek: Rusinowice, Wierzbie, Sadów oraz zamek Wessola (karczma i teren przy obecnej ulicy P. Stalmacha będący ówczesnym przedmieściem Lublińca). W 1781 roku był już właścicielem Droniowiczek, Solarni, Kokotka, Posmyka i Rusino-



Fronton Zakładu Grotowskiego

wic. W 1784 roku nabył od Dionizego von Jeannerta 11 okolicznych wiosek: Bogdała, Draliny, Pludry, Glinica, Jawornica, Kośmidry, Lubecko, Lisowice, Pietraszów, Steblów i Zborowskie. Po okresowych trudnościach finansowych w wyniku udanych spekulacji i rosnących cen żelaza produkowanego w jego piecach hutniczych w Kośmidrach i Pietraszowie stał się bogatym człowiekiem. Jako pan włości wykazywał silne poczucie sprawiedliwości i dobroć serca szczególnie wobec biednych i dzieci, zwłaszcza sierot. Będąc kolatorem parafii św. Mikołaja dokonywał akceptacji rocznych

rozliczeń. Dokumenty te opatrywał pieczęcią z herbem RAWA.

Okolo 1765 r. Grotowski zlecił namalowanie portretów: sobie i żonie Renacie. Dziwnymi drogami obrazy te trafiły do Muzeum Śląska Opolskiego i dzięki uprzejmości dyrekcji muzeum i pracownicy działu sztuk Joanny Filipczyk możliwa jest ich prezentacja na łamach „Ziemi Lublinieckiej”.

W dniu 22.08.1812 r. Franciszek Grotowski sporządził testament, w którym swą małżonkę Marię Annę von Blacha uczynił spadkobierczynią jednej czwartej majątku. Pozostałe trzy czwarte wartości dóbr po śmierci małżonki regulował \$2 testamentu:

„Po śmierci wymienionej jedynej spadkobierczyni chcę, by powstał w zamku zakład wychowawczy z dochodów mego spadku, o utworzenie którego przeświety rząd bardzo proszę. Zakład ten przeznaczony ma być dla chłopców i dziewcząt

od 9 roku życia, bez względu na pochodzenie – szlacheckie czy mieszczańskie, wyznanie – katolickie, ewangelickie czy reformowane. Po ukończeniu 16 roku życia winni opuścić zakład. Wychowankom ma być wpajana miłość prawdy i sprawiedliwości, jak również poszanowanie dla prawa. Zakład ma nosić imię GROTOWSKIEGO”.

Fundator zmarł dnia 11.07.1814 r. na zamku w Lublińcu i został pochowany w krypcie pod kaplicą św. Karola Boromeusza kościoła św. Mikołaja. W czasie II wojny św. podczas urządzania ogrzewania kościoła szczątki zwłok osób pochowanych w krypcie złożono w trumnach, które zakopano pod murem nawy kościoła od strony północnej.

Zgodnie z wolą fundatora powstała Fundacja Grotowskiego, którą zatwierdził dn. 02.01.1820 r. ówczesny król Prus Fryderyk Wilhelm III. Zanim zmarła dnia 07.03.1826 r. Maria Anna Grotowska rodzona Blacha kazała wykonać żeliwną płytę pamiątkową o wymiarach 150 x 100 x 2 cm w języku niemieckim, którego tłumaczenie brzmi:

„Pamięci mnie niezapomnianego Małżonka królewskiego pruskiego radcy sprawiedliwości Pana dziedzicznego na Lublińcu i fundatora dobroczynnego zakładu wychowawczego Pana Franciszka Grotowskiego jego wierna druga małżonka Maria Anna Grotowska rodzona Blacha wdzięcznie poświęcam. Urodził się dnia 10.10.1733 r., a zmarł 11.07.1814 r. w wieku 81 lat”.

Tablica ta, dzięki szczęśliwemu losowi, odnalazła się po kilkudziesięciu latach i po renowacji znajduje się w holu budynku dzisiejszego Zespołu Szkół Katolickich. Niezrozumiałe są pomyłki w dacie urodzin na tablicy z datą w księdze chrztów jak również z herbem RAWA na pieczęci i herbem ŁODZIA nad drzwiami frontowymi do budynku byłego Zakładu Wychowawczego. Od roku 1843, pomimo niekorzystnych warunków pogodowych, rozpoczęła się budowa gmachu Zakładu Wychowawczego – Instytutu Grotowskiego według planu inspektora budowlanego Beckmanna.

Po 5 latach budowy dyrektor Instytutu Grotowskiego o nazwisku Stephan ogłoszeniem w „Lublinitzer Kreis Blatt” z dnia 29.09.1848 r. zaprosił wszystkich dobrodziejów i przyjaciół na uroczyste otwarcie Zakładu Grotowskiego mające nastąpić 08.10.1848 r. o godz. 11: 00. Otwarcia



Grotowski herbu RAWA



Podobizna Franciszka Grotowskiego z ok. 1765 r



Grotowski herbu ŁODZIA nad frontonem budynku



Podobizna żony Renaty de Arco

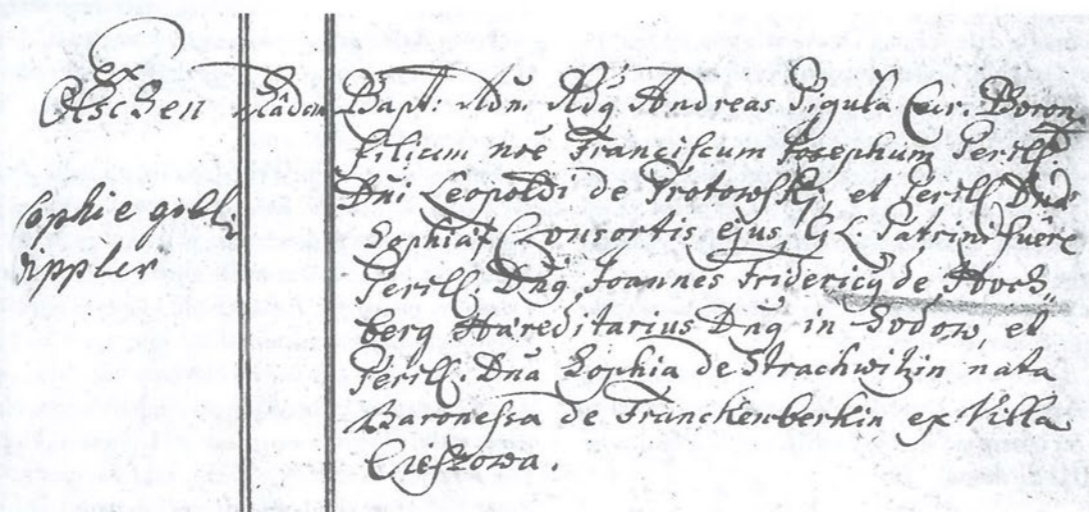
dokonał królewski naczelny prezes prowincji śląskiej hrabia Pückler, który przekazał Zakład w ręce dyrektora. Przyjmowanie wychowanków i działalność Zakładu regulował regulamin zatwierdzony przez zarząd Fundacji w Opolu. Według sprawozdania dyrektora z 1850 roku Zakład miał 54 wychowanków, przy zatrudnieniu 4. osób odpowiedzialnych za wychowanie i kształcenie oraz 5 pracowników socjalnych. Do roku 1914 przez Zakład przewinęło się 1238 wychowanków. W roku 1921 – w związku z decyzją o przyznaniu Polsce części Górnego Śląska, w tym Lublińca władze niemieckie rozwiązały Zakład Wychowawczy. Przez krótki okres pomieszczenia opuszczone przez wychowanków zajmował Urząd Skarbowy. W dniu 23.02.1922 r. władze rejencji w Opolu sprzedały nieruchomości Zakładu Zgromadzeniu Ojców Oblatów OMI.

W budynku tym umieszczone zostało Niższe Seminarium Duchowne, które funkcjonowało do wybuchu II wojny światowej. W okresie od lutego do 15 czerwca 1940 roku niemieckie władze przeniosły z Wrocławia do budynku po Niższym Seminarium Duchownym szkołę podoficerską SS – Totenkopf. Było to podyktowane prawdopodobnie lepszymi warunkami do ćwiczeń strzeleckich na pobliskiej strzelnicy wojskowej. Po zakończeniu wojny powrócili seminarzyści Ojców Oblatów, by w 1952 roku znowu być wyrzuconym tym razem przez ówczesne władze komunistyczne.

Do lipca 2000 roku w budynku prowadzony był Ośrodek dla Dzieci Głuchoniemych.

W dniu 12.10.2000 r. w odremontowanych pomieszczeniach uroczystie otwarto Zespół Szkół Katolickich im. Św. Edyty Stein prowadzone przez Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców oddział w Lublińcu. Szczęśliwym losem po 200 latach od spisania testamentu Grotowskiego jego wola: wychowanie i kształcenie młodego pokolenia jest realizowane w murach jego fundacji. Większość aktywów fundacji pochłonęła I i II wojna światowa ale budynek ówczesnego Instytutu Grotowskiego nadal wypełnia misję kształcenia dzieci i młodzieży w poznawaniu prawdy, sprawiedliwości i wartości chrześcijańskich mając za wzór postać fundatora i patronkę szkoły.

Autor dziękuje Panu Piotrowi Kalinowskiemu za pomoc w opracowaniu artykułu.



Wpis w księdze chrztów parafii Sadów pod datą 11.10.1733 o udzieleniu chrztu świętego Franciszkowi Grotowskiemu.



Wychowankowie i kadra nauczycielska Instytutu im. F. Grotowskiego ok. 1921 r.



Widok Zakładu Wychowawczego im. F. Grotowskiego przed 1922 r.

Lubliniec wczoraj i dziś

~ Zdjęcia: **FOTOPOZNANSKI** ~
~ Opisy zdjęć: *Sebastian Ziółek* ~



Dawny Victoriaplatz to dzisiejszy plac Kościuszki znajdujący się przy zbiegu ulic Mickiewicza i Kilińskiego. Fotografia została wykonana na przełomie XIX i XX wieku. Widoczny handel (sklep) kupca Józefa Macieowitza należał do polskiej rodziny, która wyemigrowała do Lublińca z Królestwa Polskiego po powstaniu styczniowym z 1863 roku i uległa germanizacji. Znaną reklamą pocztową z nadrukiem: „Josef Macieowitz. Lublinitz O-S”. Jeden z przedstawicieli tego rodu, August, był mistrzem rzeźnickim w Lublińcu, inny, Karol, prowadził w mieście restaurację. Po lewej stronie budynek zajazdu (Gasthaus). Lubliniec przełomu wieków, jako miasto położone na trasie wodzącej na Górny Śląsk, słynął z tego typu usług. Zatrzymywali się tu podróżnicy korzystający z linii kolejowej. Z prawej strony widoczna wieża nieistniejącego dziś kościoła ewangelickiego pw. św. Trójcy, poświęconego w 1850 roku.



Zdjęcie, wykonane na przełomie XIX i XX wieku, przedstawia obecną ulicę Mickiewicza, dawniej nazwaną Rosenbergerstrasse, czyli Oleską. Po prawej stronie, w głębi, widoczny budynek urzędu pocztowego, w którym obecnie znajduje się siedziba Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Budynek ten wzniesiono w latach 1872–1874. Oprócz usług pocztowych oferowano w nim również możliwość skorzystania z telefonu i telegrafu. W 1889 roku dostępne były połączenia telefoniczne z: Kochanowicami, Herbami, Boronowem, Koszęcinem, Sadowem, Pawonkowem, Gwoździanami oraz Dobrodzieniem. W 1893 roku zainstalowane pierwsze w Lublińcu skrzynki pocztowe, a w 1901 roku telefony w domach prywatnych. Na zdjęciu widać nieistniejące dziś wejście do budynku od ówczesnej ulicy Bahnhofstrasse (Dworcowej), czyli dzisiejszej ulicy Oświęcimskiej. Po lewej stronie, na pierwszym planie, znajdują się nieistniejące budynki nazwane „Villa Nova”, należące do Salomona Couranta, dziadka Edyty Stein. Ulokowano w nich m.in. restaurację z salą widowiskową i kręgielnię, a później miejską szkołę średnią dla dziewcząt. Rodzina Courant była w ich posiadaniu do 1914 roku.